MAGAZYN

Niemcy są pogrążone w mentalnym zamęcie. Polityka jest konsekwencją
– Str. 20-21

Plon, niesiemy plon, ale najważniejszy jest tu on. Jak politycy żywią się dożynkami
– Str. 24-25

Telemagazyn z programem TV i zapowiedzią najciekawszych filmów, seriali i programów

Nr ISSN 0137-9526
Nr indeksu 348-570
9 770137 952053 37

www.gp24.pl

Nr 211 (5969) | Nakład: 9.219 | Cena 6,50 zł (w tym 8% VAT)

GŁOS POMORZA

DZIENNIK POMORZA

79 lat

Piątek, 11.09.2026

ROZMOWA „GŁOSU”
Krzysztof Banach, kurator wystawy „Za czym kolejka ta stoi? PRL w muzycznym zwierciadle”: Muzyka młodzieżowa zawsze wiąże się z wyzwoleniem

KRAJ
Ważą się losy stałej amerykańskiej bazy w Polsce. Specjalna grupa ogląda lokalizacje

Szczecin

Kresowiak z urodzenia, ustczanin z wyboru

Kmdr Tadeusz Konopacki Honorowym Obywatelem Miasta Ustka

– Str. 12-13

FOT. ŁUKASZ CAPAR

Relaks

Krzyżówki do kawy. Nowości w programie TV

Słupsk

W hołdzie za odwagę. Jan Ponulak został patronem skweru przy ul. Nad Śluzami
– Str. 3

FOT. ŁUKASZ CAPAR

Słupsk

Lipiec i sierpień w Urzędzie Stanu Cywilnego. Wakacje pełne miłości i rozstań
– Str. 4

Społeczeństwo

Klienci narzekają na działanie systemu kaucyjnego. Ale można ułatwić sobie życie, jeśli zna się zasady
– Str. 6

FOT. R. DIMITROW

eprasa.pl 28709e6c16

POLECAMY

JUTRO: Żaden lek nie zastąpi ruchu PONIEDZIAŁEK: Wydarzenia sportowe weekendu

11.09.2026
Piątek

Dziś imieniny obchodzą: Dagna, Jacek, Feliks
Telefon alarmowy: 112

GP24.pl GK24.pl GS24.pl

Redaktor naczelny Jarosław Jaz
Z-cy redaktora naczelnego Marcin Stefanowski, Wojciech Frelichowski, Ynona Husaim-Sobecka
Wydawca Ynona Husaim-Sobecka, Jarosław Jaz, Wojciech Frelichowski, Marcin Stefanowski, Piotr Polechoński
www.gp24.pl
www.gk24.pl
www.gs24.pl

Polska Press Makroregion Pomorze
Redakcja Słupsk, ul. Henryka Pobożnego 19, tel. 59 848 81 00, redakcja.gp24@polskapress.pl; Koszalin, ul. Partyzantów 17, tel. 94 347 35 52, redakcja.gk24@polskapress.pl; Szczecin, Al. Niepodległości 26/U1, tel. 91 481 33 00,redakcja.gs24@polskapress.pl,
Prezes Makroregionu Piotr Grabowski
Dyrektor reklamy Ewa Żelazko
Druk Polska Press Oddział Poligrafia, 85-438 Bydgoszcz, ul. Grunwaldzka 229

POLSKA PRESS GRUPA

Wydawca Polska Press Sp. z o.o.
ul. Domaniewska 45, 02-672 Warszawa, tel. 22 201 44 00, fax: 22 201 44 10
p.o. Prezes Zarządu Polska Press Grupy Elżbieta Żuraw
Redaktor naczelny Polska Press Grupy Marek Twaróg
Projekt graficzny, dyrektor artystyczny PPG Tomasz Bocheński
Dyrektor kolportażu PPG Tomasz Osoliński
Biuro Konsumenta PPG
biurokonsumenta@polskapress.pl, tel. 12 688 85 10

PBC

©℗ - umieszczenie takich dwóch znaków przy Artykule, w szczególności przy Aktualnym Artykule, oznacza możliwość jego dalszego rozpowszechniania tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty zgodnie z cennikiem zamieszczonym na stronie www.gp24.pl/tresci i w zgodzie z postanowieniami niniejszego regulaminu.

Komentarz dnia

Agaton Koziński: Sukces AfD w Niemczech i pochwała polskiej polaryzacji

publicysta

Po niedzielnych wyborach sytuacja w Niemczech może rzutować na politykę w Europie. Antysystemowa, prorosyjska partia AfD była dotąd otaczana kordonem sanitarnym. Partie głównego nurtu pomijały to ugrupowanie, zachowywały się jakby go nie było, czy to w Bundestagu, czy na poziomie parlamentów lokalnych. Saksonia-Anhalt to sygnał, że ta strategia się nie sprawdza. Sygnał pierwszy i nie ostatni, bo świetne sondaże AfD notuje także w innych landach. Już nie wystarczą używane do tej pory zaklęcia: że to populiści, że są silni tylko na terenie dawnego NRD, że to chwilowa moda. Tradycyjne niemieckie partie będą musiały zareagować dużo bardziej na serio.

Niemcy stały się więc politycznym poligonem. Cała Europa będzie się przyglądać temu, jak radzić sobie z AfD, które posiada władzę. To ważne lekcje, bo antysystemowe partie idą po władzę także we Francji, Holandii, Hiszpanii, Portugalii.

Co ciekawe, Polski nie ma na tej liście. O ile w Europie Zachodniej tradycyjne partie idą pod wodę, o tyle u nas PiS i Koalicja Obywatelska utrzymują zaufanie dużej części elektoratu. Dzieje się tak z wielu powodów. Fakt, że te dwie główne partie nigdy nie stworzyły ze sobą koalicji jest jednym z ważniejszych. W Polsce mamy realny spór polityczny, a Polacy mają świadomość, że przy urnach mogą wskazać kierunek, w którym nasz kraj ma zmierzać. W innych państwach partie głównego nurtu tę wiarygodność z siebie wypłukały.

Dlatego warto docenić polską polaryzację. Od 21 lat rządzą nami na zmianę Donald Tusk i Jarosław Kaczyński - ich rywalizacja to jeden z głównych powodów, który doprowadził postkomunistyczny, zacofany kraj nad Wisłą do G20. Polacy mają polityczny wybór. Niemcy długo go nie mieli. Dziś płacą za to, oddając władzę AfD.

AUTOPROMOCJA

Prenumeruj
„Głos Pomorza”
„Głos Koszaliński”
„Głos Szczeciński”

tel. 94 340 11 14
bok.prenumerata@polskapress.pl
prenumerata.gp24.pl

POGODA

dziś 19°C/13°C

jutro 19°C/12°C

ROZMOWA

Historyk: muzyka młodzieżowa zawsze wiąże się z wyzwoleniem

Igor Rakowski-Kłos (PAP)

Jeżeli ktoś odczuwał nie tyle potrzebę kontestacji, ile potrzebę wolności, to w naturalny sposób zwracał się ku Zachodowi. A muzyka młodzieżowa zawsze wiąże się z wyzwoleniem - mówi Krzysztof Banach, kurator wystawy „Za czym kolejka ta stoi? PRL w muzycznym zwierciadle” w Muzeum Historii Polski.

FOT. WIKIPEDIA

O utraconym potencjale polskiej muzyki świadcz to, że nie mamy swojej Abby, ani swojego Iggy'ego Popa.

Tytuł wystawy „Za czym kolejka ta stoi. PRL w muzycznym zwierciadle” nawiązuje do tekstu Ernesta Brylla, który śpiewała Krystyna Prońko. Dlaczego właśnie ten utwór został wybrany?

Szukaliśmy przede wszystkim hasła, które byłoby lejtmotywem wystawy - zarówno jej estetyki, jak i wymowy - a jednocześnie było mocno zakorzenione w muzyce. Trudno było znaleźć lepszy motyw niż kolejka. Pierwsze olśnienie pojawiło się, gdy Krystyna Prońko podczas rozmowy w Muzeum Historii Polski powiedziała, że w życiu kolejka jest zawsze, bo cały czas w jakiejś kolejce stoimy, choć za każdym razem w inny sposób. Drugie olśnienie przyszło do nas wraz z obrazem „Kolejka trwa” Andrzeja Wróblewskiego, którego włączenie do wystawy zaproponował Tomasz Toborek, jeden z kuratorów. To nie tylko obraz o polityce czy o konkretnych realiach historycznych. A dzięki kolorystyce i pozom postaci świetnie wpisuje się w estetykę ekspozycji. Wystawę kończy piosenka Voo Voo z tekstem Wojciecha Waglewskiego „Nim stanie się tak, jak gdyby nigdy nic nie było”. Napisał ją w drugiej połowie lat 80., po awarii elektrowni w Czarnobylu. Powiedział, że dla niego to właśnie był czas oczekiwania na zmianę.

Na ile wystawa jest o muzyce, a na ile o PRL?

Mógłbym odpowiedzieć prowokacyjnie, że ta wystawa w ogóle nie jest o muzyce. Podczas pracy nad nią myśleliśmy przede wszystkim o epoce. Bardzo mocno pilnował tej perspektywy Marek Stremecki, jeden z kuratorów, który przyszedł do nas z samym pomysłem wystawy. Zastanowiliśmy się wtedy, jak za pomocą muzyki opowiadać o historii społecznej, która pozwala patrzeć na przeszłość nie tylko przez pryzmat czystej faktografii, lecz także poprzez mikrohistorie - konkretne wydarzenia i wątki składające się na większą całość. Interesują nas przy tym dwie strony medalu: twórcy i ich fani. Ludzie żyjący w PRL-u funkcjonowali w określonych ramach politycznych i geopolitycznych, a my opowiadamy o ich reakcjach na system, na konkretne realia społeczno-polityczne kolejnych dekad. Wybraliśmy muzykę jako pryzmat, przez który patrzymy na różne zjawiska. Dysponujemy dużą przestrzenią wystawienniczą i bogatymi zbiorami, więc mogliśmy spojrzeć na całą epokę 1944-1989 i pokazać pełniejsze spektrum ludzkich reakcji. Gdybyśmy chcieli ująć je hasłowo, moglibyśmy powiedzieć, że z jednej strony mamy sprzeciw wobec systemu, bierność, ucieczkę w świat muzyki, a z drugiej - uległość czy współpracę z systemem. Staramy się pokazać również, że PRL nie był jednorodny. Pewne wątki pozostawały stałe, ale poszczególne dekady można podzielić na mniejsze okresy, z których każdy miał własne uwarunkowania i własną specyfikę.

Czy PRL wymyślił muzykę młodzieżową?

Na pewno wytworzył własną polską wersję tego, czym była muzyka młodzieżowa. Na wystawie staramy się przede wszystkim pokazać kilka fal, podczas których określone gatunki muzyczne stawały się dla systemu swego rodzaju kozłem ofiarnym. Na początku takim gatunkiem był jazz. W prasie systemowej pojawiały się głosy, że psuje młodzież, chociaż sama muzyka nie przyciągała wyłącznie młodych ludzi. Muzyka młodzieżowa naprawdę pojawiła się dopiero z big-beatem, trochę na wzór beatlemanii i fascynacji rock'n'rollem na Zachodzie.

Czy kontekst społeczno-polityczny sprawił, że część muzycznych talentów nie została należycie wykorzystana?

Czasami artyści emigrowali i po prostu przestawali grać. Jedni zakładali restaurację czy sklep, inni podejmowali ciężką pracę fizyczną, choćby przy usuwaniu azbestu z dachów. W ten sposób kończyło się wiele karier. Jestem przekonany, że powstałoby znacznie więcej dobrej muzyki, gdyby także muzycy w kraju nie musieli poświęcać tak dużej części energii na walkę o podstawy egzystencji: możliwość zarobku i godne wynagrodzenie za własną twórczość. W PRL paradoksalny był cały system stawek i instytucji funkcjonujących wokół muzyków. Autor tekstu mógł zarobić za napisanie piosenki więcej niż wykonujący ją zespół na ogromnej liczbie koncertów. Ciekawym przykładem jest Czesław Niemen, który oblał egzamin kwalifikujący go do wyższej kategorii.

eprasa.pl 28709e6c16

SŁUPSK

W hołdzie za odwagę. Jan Ponulak został patronem skweru przy ulicy Nad Śluzami

Wojciech Lesner

Teren zielony przy ulicy Nad Śluzami w Słupsku zyskał swojego patrona. Został nim Jan Ponulak, odznaczony pośmiertnie medalem Sprawiedliwy wśród Narodów Świata przez instytut Yad Vashem w Jerozolimie.

Jan Ponulak był mieszkańcem Słupska. W czasie II wojny światowej, mieszkając jeszcze w Gródku Jagiellońskim koło Lwowa, pomagał rodzinie żydowskiej Reitzfeldów, narażając własne życie. Aby uhonorować jego bohaterską postawę, władze Słupska, w którym Jan Ponulak zamieszkał po wojnie, zdecydowały o nadaniu jego imienia skwerowi znajdującemu się w bezpośrednim sąsiedztwie Parku Kultury i Wypoczynku w Słupsku. Pomysł zyskał również poparcie słupskich radnych, którzy w czerwcu przyjęli uchwałę w tej sprawie.

W miniona środę odbyła się oficjalna uroczystość nadania skwerowi imienia Jana Ponulaka. W wydarzeniu uczestniczyli bliscy patrona, samorządowcy oraz mieszkańcy Słupska. Po wspólnym odśpiewaniu Hymnu Państwowego odczytano list okolicznościowy autorstwa profesora Dariusza Stoli, dyrektora Muzeum Historii Żydów Polskich POLIN w Warszawie.

- [...] Historia pomocy Jana Ponulaka to świadectwo odpowiedzialności za los drugiego człowieka. Ratujący działali w pełni konspiracji, w strachu przed Niemcami i sąsiadami. Ryzykowali życie. Niemieckie władze okupacyjne karały śmiercią za opuszczenie getta i za udzielenie Żydom pomocy - brzmiał fragment listu.

FOT. ŁUKASZ CAPAR

Uroczystość nadania imienia Jana Ponulaka skwerowi przy ul. Nad Śluzami w Słupsku

Podczas uroczystości władzom miasta dziękował Jan Ponulak - syn patrona skweru. Wspominał również swojego ojca - m.in wspólne spacery pobliską alejką brzozową - i wartości, jakie przekazywał swoim dzieciom.

- Tu rozmawialiśmy o codziennych problemach, o codziennych troskach. W życiu prywatnym był człowiekiem bardzo odważnym, bardzo konkretnym. Tego nas uczył i uczył tego, co jest najważniejsze - być dla człowieka zawsze empatycznym, zawsze takim, jak ludzie się odnoszą do ciebie. To było jego credo, to było credo naszej rodziny – mówił Jan Ponulak.

Jan Ponulak

Urodził się w 1915 roku i młodość spędził w Gródku Jagiellońskim koło Lwowa. Po wojnie zamieszkał w Słupsku, gdzie prowadził sklep. W czasie okupacji niemieckiej wykazał się niezwykłą odwagą, pomagając żydowskiej rodzinie Reitzfeldów. Dzięki swoim kontaktom zdobywał dla nich potrzebne dokumenty, organizował pracę i pomagał uniknąć prześladowań ze strony Niemców. Opiekował się także rannymi i pomagał osobom ukrywającym się przed wywózką.

Za swoje bohaterskie działania został pośmiertnie odznaczony medalem Sprawiedliwy wśród Narodów Świata przez Instytut Pamięci Narodowej Yad Vashem w Jerozolimie. Jan Ponulak jest dziś pamiętany jako człowiek honoru, odwagi i wielkiego poświęcenia dla innych. Zmarł w wieku 88 lat, spoczywa na cmentarzu w Słupsku

SŁUPSK

Zaatakowali pracowników służby zdrowia. Poniosą konsekwencje

oprac. Wojciech Frelichowski

Słupscy policjanci zatrzymali dwóch mężczyzn, którzy byli agresywni wobec pracowników służby zdrowia. Interwencje funkcjonariuszy miały miejsce podczas dwóch różnych akcji. Obaj agresorzy odpowiedzą przed sądem.

Jak informuje Komenda Miejska Policji w Słupsku, w jednym ze szpitali słupskiego powiatu na poczekalnię Nocnej Opieki Chorych wtargnął agresywny mężczyzna, który zaczął się awanturować i ubliżać pracownikom medycznym. Podczas awantury 45-letni napastnik wyciągnął gaz łzawiący i spryskał twarze lekarza dyżurującemu i jednej z pielęgniarek, po czym uciekł z placówki.

Policjanci, którzy odebrali zgłoszenie, kilka chwil później zatrzymali agresora i doprowadzili do policyjnej celi. Mężczyzna usłyszał już zarzuty, a sąd zastosował wobec niego policyjny dozór i zakaz zbliżania się do pokrzywdzonych.

Dzień później funkcjonariusze zatrzymali 67-latka, który mając w organizmie ponad 2,5 promila alkoholu, zaatakował interweniujących wobec niego ratowników, którzy udzielali mu pomocy. Mężczyzna bił i kopał medyków oraz groził im pozbawieniem życia.

Funkcjonariusze zatrzymali agresora i ten również usłyszał już zarzuty naruszenia nietykalności funkcjonariusza publicznego oraz znieważenia i gróźb karalnych.

Prokurator zastosował wobec mężczyzny policyjny dozór oraz zakaz zbliżania i kontaktowania się z pokrzywdzonymi.

Teraz obaj mężczyźni za swoje czyny odpowiedzą przed sądem.

FOT. KMP SŁUPSK

Zatrzymani mężczyźni odpowiedzą przed sądem

REKLAMA 0011576277

URZĄDZENIA CZYSZCZĄCE
SERWIS i SPRZEDAŻ
NILFISK KÄRCHER

PROFESJONALNA OBSŁUGA
Z WIELOLETNIM DOŚWIADCZENIEM

Zapraszamy do Autoryzowanego Serwisu Punktu Sprzedaży firmy Nilfisk oraz serwisu i Punktu Sprzedaży Firmy Kärcher

76-200 Słupsk, ul. Przemysłowa 34b
tel. 602 442 117
e-mail: mariusz-zawacki@wp.pl
www.jmk-serwis.pl

eprasa.pl 28709e6c16

SŁUPSK

Lipiec i sierpień w Urzędzie Stanu Cywilnego w Słupsku. Wakacje pełne miłości i rozstań

Patryk Czerwiński

Choć pogoda bywała zmienna, w lokalnym Urzędzie Stanu Cywilnego w Słupsku panowała wyrazista, gorąca atmosfera. Z danych przekazanych przez Monikę Rapacewicz, rzeczniczkę prasową Urzędu Miasta w Słupsku, wynika, że w lipcu i sierpniu 2026 roku zawarto łącznie 116 małżeństw. Daje to średnią niemal dwóch ceremonii dziennie.

FOT. 123RF

W okresie wakacji w Słupsku było więcej zawartych związków małżeńskich niż rozwodów

Nowożeńcy mogą zdecydować się na jedną z kilku oficjalnych ścieżek. Ślub cywilny odbywa się przed kierownikiem Urzędu Stanu Cywilnego i reguluje wyłącznie prawne aspekty związku. Alternatywą jest ślub konkordatowy, czyli ceremonia religijna połączona ze skutkami cywilno-prawnymi. Po uroczystości duchowny przesyła dokumenty do urzędu, dzięki czemu narzeczeni nie muszą organizować osobnej wizyty w Urzędzie Stanu Cywilnego.

Istnieje również opcja zorganizowania ślubu cywilnego w plenerze. Taka usługa wiąże się z dodatkową opłatą skarbową w wysokości 1000 zł, a w przypadku korzystania z infrastruktury prywatnej (np. altany na terenie restauracji) należy liczyć się także z ewentualnym opłatami ustalanymi bezpośrednio przez właściciela lokalu.

W Słupsku w okresie tegorocznych wakacj związek cywilny zdecydowało się aż 55 par, natomiast na ślub konkordatowy 21, zaś zagraniczne dokumenty małżeńskie zalegalizowano w 11 przypadkach. Sumarycznie w trakcie wakacji odbyło się 87 ślubów cywilnych, 29 konkordatowych i dopełniono 20 transkrypcji ślubów zawartych za granicą.

Letni czas miał jednak również drugie, trudniejsze oblicze. W tym samym dwumiesięcznym okresie słupskie sądy orzekły 44 wyroki rozwodowe, pokazując, że wakacje to dla wielu nie tylko czas budowania relacji, ale i domykania życiowych rozdziałów.

Transkrypcje dotyczyły zagranicznych aktów małżeństwa zawartych przez pary różnopłciowe (kobiet i mężczyzn).

Dla szerszego kontekstu warto dodać, że w całym 2025 roku w Słupsku sformalizowano 564 związki małżeńskie, a rozstań odnotowano 207.

Mimo słodko-gorzkiego charakteru statystyk, optymizmem napawa fakt, że chęć budowania wspólnej przyszłości niezmiennie i ze znaczną przewagą wygrywa w mieście z decyzjami o rozwodzie.

REGION

Plan Ogólny Ustki uchwalony. Interaktywna mapa zastępuje dotychczasowe studium

oprac. Patryk Czerwiński

Podczas nadzwyczajnej sesji Rady Miasta Ustka uchwalono Plan Ogólny Miasta Ustka. Nowy dokument zastąpił studium uwarunkowań i kierunków zagospodarowania przestrzennego, ma formę interaktywnej mapy. Ustka znalazła się wśród około jednej trzeciej samorządów, które zdążyły z uchwaleniem planu w wyznaczonym terminie.

Uchwalenie Planu Ogólnego Miasta Ustka podczas niedawnej nadzwyczajnej sesji Rady Miasta przypieczętowało ważną zmianę w lokalnym planowaniu przestrzennym. Od 1 września 2026 roku ten nowoczesny cyfrowy dokument oficjalnie zastąpił dotychczasowe studium uwarunkowań i kierunków zagospodarowania przestrzennego.

Dokument funkcjonuje jako interaktywna mapa, w czytelny i graficzny sposób prezentująca miejskie tereny wraz z ich planowanym przeznaczeniem. Wyznacza on fundamentalne kierunki rozwoju urbanistycznego, stanowiąc kluczowy punkt odniesienia przy sporządzaniu miejscowych planów zagospodarowania przestrzennego.

W rejonach, które nie są objęte miejscowymi planami zagospodarowania przestrzennego, nowe opracowanie staje się bezpośrednią podstawą prawną do wydawania decyzji o warunkach zabudowy, a w dalszej kolejności również pozwoleń na budowę.

- Plan Ogólny podzielił miasto na dziesięć różnych typów działek, między innymi na strefy wielofunkcyjne z zabudową mieszkaniową wielorodzinną oraz zabudową mieszkaniową jednorodzinną, strefy usługowe, gospodarcze czy te przeznaczone na zieleń i tereny rekreacyjne, na których nigdy nie powinna się znaleźć gęsta zabudowa - pisze Miasto Ustka.

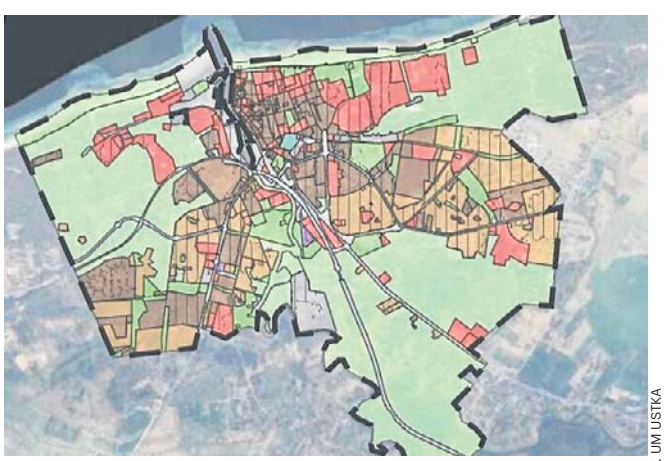

FOT. UM USTKA

Projekt planu ogólnego miasta Ustka w postaci danych przestrzennych

Z racji tego, że obszary pozbawione obowiązujących planów stanowią w Ustce znikomy procent, przyjęte ustalenia w znacznej mierze czerpią z koncepcji urbanistycznych wypracowanych już w poprzednich latach.

Opracowanie oraz przyjęcie Planów Ogólnych było dla samorządów ustawowym obowiązkiem, na którego realizację wyznaczono nieprzekraczalny termin do 31 sierpnia.

- W całej Polsce tylko około 1/3 samorządów zdołała tego terminu dotrzymać - podkreślają władze miasta.

Terminowe uchwalenie dokumentu niesie dla usteckiego samorządu także wymierną korzyść finansową, gdyż gminy, które zdążyły z przyjęciem planu w wyznaczonym czasie, zyskały prawo do ubiegania się o pełne refinansowanie kosztów ponoszonych przy jego przygotowaniu. ©℗

0011581206

Z głębokim żalem zawiadamiamy, że 8 września 2026 r.
odszedł w wieku 80 lat

Mieczysław Śliwiński

Ceremonia pogrzebowa odbędzie się 14 września 2026 r.
o godz. 13.30 na Starym Cmentarzu w Słupsku.
Rodzina

0011581372

Wyrazy głębokiego współczucia koleżance
Elżbiecie Śliwińskiej-Frelichowskiej
z powodu śmierci
Taty
składają
Zarząd i Pracownicy SSM „Czyn”

0011581280

Wojciechowi Frelichowskiemu
wyrazy głębokiego współczucia
z powodu śmierci
Teścia
składają
koleżanki i koledzy
z „Głosu Pomorza”

eprasa.pl 28709e6c16

MATERIAŁ INFORMACYJNY ARiMR 0011568054

Nawet 100 tys. zł z ARiMR na inwestycje w bioasekurację

Hodowcy trzody chlewnej, którzy chcą zabezpieczyć swoje gospodarstwa przed rozprzestrzenianiem się afrykańskiego pomoru świń, mogą ubiegać się o pomoc w Agencji Restrukturyzacji i Modernizacji Rolnictwa. Właśnie ruszył nabór wniosków o dofinansowanie inwestycji służących bioasekuracji. Dokumenty można składać do 1 października 2026 r. za pośrednictwem Portalu Rolnika.

Fot. Adobe Stock

Afrykański pomór świń pozostaje jednym z najpoważniejszych zagrożeń dla gospodarstw zajmujących się chowem i hodowlą trzody chlewnej. Nawet jedno ognisko ASF może oznaczać poważne konsekwencje dla gospodarstwa, w tym wybicie całego stada. Dlatego hodowcy powinni inwestować w zabezpieczenia, które ograniczają ryzyko wystąpienia wirusa. Finansową pomoc dla takich przedsięwzięć mogą otrzymać w ARiMR w ramach Planu Strategicznego dla Wspólnej Polityki Rolnej na lata 2023-2027. 2 września 2026 r. uruchomiony został czwarty nabór wniosków o wsparcie na „Inwestycje zapobiegające rozprzestrzenianiu się ASF". W tej edycji programu wprowadzono kilka zmian i uproszczeń w aplikowaniu o dofinansowanie.

Kto może złożyć wniosek?

O przyznanie wsparcia mogą ubiegać się rolnicy – osoby fizyczne, prawne lub jednostki organizacyjne nieposiadające osobowości prawnej. Wnioskodawca musi:

- być posiadaczem samoistnym lub zależnym nieruchomości objętej inwestycją albo jej użytkownikiem wieczystym;
- prowadzić chów lub hodowlę co najmniej 50 świń, albo prowadzić ekologiczną produkcję świń – w liczbie co najmniej 27 sztuk, albo hodować świnie ras rodzimych lub ras czystych zarejestrowane na nieruchomości objętej inwestycją – w tym ostatnim przypadku nie określono minimalnej liczby zwierząt;
- mieć ukończone 18 lat, jeżeli jest osobą fizyczną;
- posiadać numer identyfikacyjny w ewidencji producentów.

Inwestycje objęte dofinansowaniem

Środki można przeznaczyć na siedem rodzajów inwestycji:

- wykonanie ogrodzenia – powinno ono otoczyć chlewnię wraz z terenem koniecznym do obsługi świń, w tym miejsca, w których składuje się paszę, ściółkę oraz sprzęt do obsługi; mieć wysokość co najmniej 1,5 m; być na podmurówce lub z wkopanym krawężnikiem oraz posiadać zamykane bramy wjazdowe i furtki;
- utworzenie zadaszonej niecki dezynfekcyjnej – musi być ona funkcjonalnie związana z chlewnią, a jej wykonanie powinno być powiązane z jej budową, przebudową lub remontem; jej wymiary muszą być dostosowane do szerokości i wysokości pojazdów, które przez nią przejeżdżają oraz do obwodu kół tych pojazdów; podłoże tej niecki powinno być zabezpieczone przed przesiąkaniem środka dezynfekcyjnego;
- wyposażenie gospodarstwa rolnego w urządzenia do dezynfekcji – chodzi w szczególności o zakup lub montaż bramy, kurtyny lub tunelu;
- zapewnienie możliwości zdezynfekowania się osób zajmujących się obsługą świń – w tym przypadku inwestycja powinna być związana z przebudową, rozbudową lub remontem chlewni albo budynku gospodarskiego funkcjonalnie powiązanego z chlewnią, w tym z zakupem i montażem urządzeń do dezynfekcji obuwia, szaf do przechowywania odzieży roboczej, umywalek lub pryszniców;
- budowę lub przebudowę magazynu do przechowywania słomy – o refundację kosztów tej inwestycji mogą wnioskować jedynie rolnicy, którzy utrzymują zwierzęta na ściółce;
- posadowienie silosu na paszę gotową lub zboże przeznaczone na paszę – jego ładowność musi być dostosowana do liczby świń utrzymywanych w gospodarstwie i ich zapotrzebowania na paszę;
- zapewnienie utrzymywania świń odrębnie od innych zwierząt.

Zasady realizacji inwestycji

Wspierane będą przedsięwzięcia:

- rozpoczęte nie wcześniej niż w dniu złożenia wniosku;
- realizowane bez podziału na etapy;
- zakończone w okresie nie dłuższym niż 24 miesiące od dnia zawarcia umowy;
- o planowanej wartości powyżej 20 tys. zł, z wyjątkiem inwestycji, dla których pomoc jest ustalana na podstawie kosztów jednostkowych;
- realizowane zgodnie z regulaminem naboru obowiązującym w 2026 r.

Wysokość i formy wsparcia

Maksymalna kwota pomocy, jaką hodowca trzody chlewnej może otrzymać w całym okresie realizacji PS WPR 2023–2027 w ramach tego programu, to 100 tys. zł. Poziom dofinansowania wynosi 80 proc. kosztów kwalifikowanych lub kosztów jednostkowych w zależności od rodzaju inwestycji.
Refundacja części kosztów kwalifikowalnych dotyczy zadaszonej niecki dezynfekcyjnej, urządzeń do dezynfekcji, możliwości dezynfekowania się osób obsługujących świnie, budowy lub przebudowy magazynu słomy, zapewnienia oddzielnego utrzymywania świń od innych zwierząt. Natomiast dla ogrodzenia oraz silosu na paszę gotową lub zboże przeznaczone na paszę stosowane są zryczałtowane kwoty ustalane na podstawie kosztów jednostkowych.

W przypadku budowy ogrodzenia stawki wynoszą:

- 370 zł za metr bieżący ogrodzenia,
- 3350 zł za jedną bramę,
- 1130 zł za jedną furtkę.

W przypadku silosów wysokość pomocy zależy od ich ładowności oraz od tego, czy silos będzie wyposażony w płytę fundamentową.
Dla silosu bez płyty fundamentowej koszty jednostkowe wynoszą:

- 1570 zł/t (do 20 t);
- 850 zł/t (od ponad 20 t do 100 t);
- 630 zł/t (ponad 100 t).

Dla silosu z płytą fundamentową stawki wynoszą:

- 1930 zł/t (do 20 t);
- 1210 zł/t (od ponad 20 t do 100 t);
- 990 zł/t (ponad 100 t).

Rolnik na realizacje zaplanowanych inwestycji może otrzymać zaliczkę w wysokości nieprzekraczającej 50 proc. przyznanej kwoty pomocy, pod warunkiem że wystąpi o nią w składanym wniosku.

Ułatwienia w naborze 2026

Tegoroczny nabór przynosi kilka zmian i uproszczeń. Jednym z nich jest sposób rozliczania inwestycji dotyczącej posadowienia silosu. Będzie ona oparta na stałych kosztach jednostkowych, co oznacza, że nie będzie konieczne przedstawianie szczegółowej specyfikacji wyposażenia instalacji, faktur czy potwierdzeń płatności. Podniesiono również stawki wsparcia dotyczące budowy ogrodzeń. Dodatkowo rolnicy prowadzący produkcję ekologiczną zyskali więcej czasu na dołączenie do wymaganej dokumentacji certyfikatu ekologicznego.

Termin i sposób składania wniosków

Wnioski o wsparcie przyjmowane są od 2 września do 1 października 2026 r. Dokumenty należy składać drogą elektroniczną poprzez Portal Rolnika, w zakładce „Załatw sprawę".

WIĘCEJ INFORMACJI:

na portalu internetowym – www.gov.pl/web/arimr, pod numerem bezpłatnej infolinii 800-38-00-84 oraz w punktach informacyjnych w biurach powiatowych i oddziałach regionalnych.

Plan Strategiczny dla Wspólnej Polityki Rolnej na lata 2023-2027

ARiMR Agencja Restrukturyzacji i Modernizacji Rolnictwa

Dofinansowane przez Unię Europejską

Materiał opracowany przez Agencję Restrukturyzacji i Modernizacji Rolnictwa. Instytucja Zarządzająca Planem Strategicznym dla Wspólnej Polityki Rolnej na lata 2023-2027 – Minister Rolnictwa i Rozwoju Wsi. Materiał dofinansowany ze środków Unii Europejskiej w ramach Planu Strategicznego dla Wspólnej Polityki Rolnej na lata 2023-2027.

eprasa.pl 28709e6c16

SPOŁECZEŃSTWO

Jak przechytrzyć automat w systemie kaucyjnym

Matylda Witkowska

Klienci w całej Polsce narzekają na działanie systemu kaucyjnego. Ale można ułatwić sobie życie, jeśli zna się zasady. Niektórzy nawet sporo zarabiają.

FOT. RADOSŁAW DIMITROW

Butelki z kaucją i puszki aluminiowe nie trafiają już do samorządów. Spółki komunalne nagle straciły dopływ pieniędzy z tego tytułu. Coraz częściej słychać głosy, że skończy się to podwyżką opłat za odbiór odpadów

Pana Grzegorza z Łodzi system kaucyjny doprowadził niedawno na skraj załamania nerwowego. Początkowo Łodzianin do pomysłu zbierania opakowań był pełen zapału. Przez kilka tygodni pieczołowicie odkładał butelki i puszki, by przy okazji zakupów zawieźć je do najbliższego supermarketu. – Butelki i puszki składowałem w worku na balkonie. Gdy zaczęły się wysypywać, zabrałem worek i pojechałem do osiedlowej Biedronki – opowiada pan Grzegorz.

Niestety automat w supermarkecie z jakiegoś powodu był nieczynny, podobnie jak pozostałe na jego osiedlu. Pan Grzegorz próbował szczęścia w kilku miejscach, ale wszędzie coś było nie tak.

– Mnóstwo osób oddaje na naszym osiedlu butelki, nawet automaty w supermarketach nie są w stanie ich pomieścić. Natomiast w Żabce butelkomat jest chyba wielkości lodówki, miejsce w nim robi się przez chwilę, potem ludzie się rzucają z butelkami i znów jest pełen, i odmawia przyjmowania – opowiada Łodzianin.

W końcu dzień przed świętami automat w Biedronce nagle zadziałał. – Ucieszyłem się jak dziecko, pobiegłem do domu po mój worek z balkonu, wróciłem do sklepu, wrzuciłem butelki i dostałem paragon. Wyszło 19 zł, więc całkiem niemało – opowiada Łodzianin.

Po świętach chciał wykorzystać voucher na zakupy, ale okazało się, że kasa zupełnie go nie widzi.

– Na miejsce został wezwany kierownik, okazało się, że automat drukuje paragony z błędem i system kaucyjny w ogóle ich nie widzi. Po debacie pieniądze wypłaciła mi kasjerka. A automat znowu został wyłączony – opowiada pan Grzegorz.

Tu awaria, tam kolejka

Panu Dariuszowi z Łęczycy na myśl o butelkomatach też podnosi się ciśnienie. – Miałem już pełen bagażnik toreb z plastikowymi butelkami, wciąż dochodziły nowe, a nie miałem gdzie oddać. W tym tygodniu oddałem je w jednej z Biedronek, gdzie automat działał. Wcześniej jednak wykonałem po marketach pięć kursów samochodem na diesla, więc nie wiem czy na tym właśnie ma polegać ekologia – mówi.

Problemy z oddaniem butelek miał też pan Andrzej z Pabianic. – W jednym sklepie w Pabianicach automat zamknięty, bo była „awaria", w drugim okazało się, że „nie przyjmuje butelek". W trzecim automat działał, ale stało przed nim kilkanaście osób, każda z workiem butelek za kilkadziesiąt złotych. Pojechałem do Dino, w którym nie ma automatu i ekspedientki przyjmują butelki ręcznie, i w końcu się udało – relacjonuje.

Pan Andrzej zwraca uwagę na problemy z czystością: – Przed automatami ciągle coś jest rozlane, pracownicy sklepów nie nadążają ze sprzątaniem. Problemem są też butelki z resztkami napojów w domach. Już myślę o tym, jak latem do takich butelek będą zlatywać się muchy.

Pracownicy marketów też nie kochają systemu kaucyjnego. Dla nich obsługa automatów to dodatkowy obowiązek i konieczność wysłuchiwania skarg klientów. Natomiast mniejsze sklepy w większości butelek nie przyjmują.

– Nie mam miejsca na składowanie butelek, nie chce mi się też wbijać tych butelek do systemu. Na te kilka oranżad i wód mineralnych, które sprzedaję, nie opłaca się tego robić – mówi drobny sklepikarz z Łodzi.

Codzienny absurd życia Polaków

Dystans Polaków wobec systemu kaucyjnego potwierdził opublikowany w marcu sondaż IBRIS dla „Rzeczpospolitej". Wynika z niego m. in., że ponad połowa Polaków (50,5 proc.) ocenia system źle, a prawie połowa (48,1 proc.) w ogóle z niego nie korzysta.

Na to badanie powołali się działacze Konfederacji, którzy w zeszłym tygodniu do biur Koalicji Obywatelskiej w całej Polsce przynieśli worki pełne zebranych opakowań kaucyjnych. – System kaucyjny stał się codziennym absurdem życia Polaków. Polacy zostali zmuszeni do życia jak śmieciarze, którzy na zakupy udają się z workami butelek – mówiła w Łodzi Paula Poreda z Nowej Nadziei. W biurze KO tak nie myślano – pracownicy odebrali butelki i podziękowali za obywatelską postawę.

System kaucyjny wprowadzono w Polsce w październiku ubiegłego roku, by osiągnąć unijne poziomy recyclingu butelek. Do 2030 roku co najmniej 90 proc. jednorazowych plastikowych butelek i metalowych puszek na napoje powinno trafiać do recyclingu. Te wymagania nie zostały wprowadzone bez powodu. Z jednej strony mają zmniejszyć ilość śmieci, które trudno się rozkładają, z drugiej – zmniejszyć zużycie surowców. Recycling ma też zmniejszyć ilość groźnego mikroplastiku w środowisku – choć butelki nie stanowią jego głównego źródła.

Operatorzy systemu i sklepy podkreślają, że trzeba uzbroić się w cierpliwość, bo system się „dociera" i z każdym miesiącem będzie łatwiej. Parę pomysłów na ułatwienia podsunął pod koniec lutego na IV Kongresie Miast i Biznesu w Pabianicach. Prelegenci przypomnieli, że istnieją takie rozwiązania jak np. montaż przez gminy butelkomatów przy popularnych deptakach czy plażach obok koszy na śmieci.

– Prosimy o cierpliwość. Ten system jest potężny, dotyczy kilkunastu miliardów opakowań. Te opakowania pojawiły się teraz masowo na półkach, wymagają oddania i odbierania przez operatora. Nie wszystkie urządzenia zostały uruchomione, jest dużo zbiórki manualnej, ale z czasem będzie ona zastępowana przez maszyny – mówiła nam podczas kongresu Magdalena Markiewicz, prezes zarządu spółki PolKa Polska Kaucja, która jest jednym z operatorów systemu.

Wracają zbieracze surowców wtórnych

Tymczasem Polacy powoli przyzwyczają się do systemu kaucyjnego, a niektórzy nawet się z niego cieszą. Do Łodzi po wielu latach wrócili zbieracze surowców wtórnych ze śmietników, których Polska ćwierć wieku temu poznała za sprawą filmu „Edi". Osoby grzebiące w śmietnikach – dziś już zwykle w jednorazowych rękawiczkach – można codziennie spotkać na przystanku Piotrkowska Centrum, a także na wielu osiedlach w całej Polsce.

Rekordziści zbierają naprawdę ładne pieniądze. Obecny rekord należy do klienta z Wrocławia, który w marcu przyniósł do tamtejszej Biedronki... 807 opakowań i otrzymał voucher na zakupy za 403,50 zł. To jednak prawdopodobnie nie koniec, bo rekordy zwrotów z miesiąca na miesiąc rosną.

Biedronka, która przekroczyła w marcu liczbę 2000 czynnych butelkomatów, zapewnia, że butelki zwrotne przyjmowane są we wszystkich sklepach, choć okresowo w czasie dużego natężenia ruchu automaty mogą być przeciążone. Wśród powodów są też te powstające z winy klientów, np. wkładanie brudnych lub nieopróżnionych opakowań.

– Wszystkie sklepy Biedronka, w których sprzedawane są produkty objęte systemem kaucyjnym, prowadzą ich zbiórkę – zarówno w sposób automatyczny (recyklomaty), jak i manualny (recykloboksy), w zależności od etapu wdrożenia danego rozwiązania oraz uwarunkowań lokalnych – zapewniał nas kilka tygodni temu Leszek Dąbrowski, młodszy menedżer ds. relacji instytucjonalnych w sieci Biedronka.

Natomiast na problem zapchanych automatów jest proste rozwiązanie, o którym mało klientów wie. Każdy sklep o powierzchni ponad 200 mkw. musi przyjąć butelki, a automat jest tylko jedną z opcji. „Jeśli butelkomat nie działa, nie rezygnuj ze zwrotu. Sklep, który ma ustawowy obowiązek przyjmowania opakowań i zwrotu kaucji, powinien przyjąć je również poza automatem i wypłacić należną kwotę" – radzi rządowy portal gov.pl.

Tą samą radę podpowiedziała nam Biedronka. – W czasie wyłączenia urządzeń z użytku klienci mogą zwrócić opakowania bezpośrednio w sklepie – przy kasach. Obsady sklepów zostały ponownie poinformowane o obowiązku zapewnienia takiej możliwości w przypadku awarii automatu – zapewnia Leszek Dąbrowski.

eprasa.pl 28709e6c16

FOKUS

• **Podkarpacki Czek Turystyczny** startuje w poniedziałek, 14 września, o godzinie 12. Do zdobycia jest czek na 300 złotych

US ARMY W POLSCE

Ważą się losy stałej amerykańskiej bazy. Specjalna grupa ogląda lokalizacje

Decyzja o powstaniu stałej bazy wojsk USA w Polsce coraz bliżej. Szef zespołu Pete'a Hegsetha, szefa Pentagonu, rozmawia z przedstawicielami naszego rządu o potencjalnej lokalizacji bazy

O możliwym powstaniu stałej bazy wojsk amerykańskich w Polsce (podobnej choćby do bazy Ramstein w Niemczech) mówi się od wiosny tego roku.Powodem, dla którego polskie władze zaczęły się ubiegać o takie rozwiązanie, było zamieszanie z rotacją amerykańskich żołnierzy w Europie, kiedy zawrócono kontyngent, który miał zameldować się w Polsce.

Jeszcze przed szczytem NATO w Ankarze szef MONi wicepremier Władysław Kosiniak-Kamys informował, że uzyskał od szefa Pentagonu Pete'a Hegsetha pozytywną odpowiedź na list z 29 maja, zgłaszający gotowość Polski do utworzenia stałej bazy wojsk amerykańskich.

– W Pentagonie trwa przegląd sił, który będzie podstawą dalszych decyzji. Departament Wojny jest otwarty na ofertę Polski w zakresie stałego stacjonowania sił amerykańskich na jej terytorium – przekazał wówczas wicepremier, dodając, że blisko 60 procnt Polaków popiera utworzenie stałej bazy wojsk USA w Polsce.

Od początku było wiadomo, że jeśli baza powstanie, będzie zlokalizowana raczej w zachodniej części Polski. Wiceminister obrony Magdalena Sobkowiak-Czarnecka poinformowała w środę, że w Polsce przebywa szef zespołu Pete'a Hegsetha, który rozmawia ze stroną polską o potencjalnej lokalizacji dla stałych amerykańskich baz wojskowych. Z kolei wiceminister obrony Paweł Bejda mówił w TVP Info, że w czwartek i piątek w Polsce wizytowała będzie amerykańska delegacja, która dokona przeglądu potencjalnych lokalizacji na stałe bazy wojskowe USA.

FOT. ANDRZEJ SZKOCKI

W Polsce stacjonuje około 10 tysięcy amerykańskich żołnierzy w rytmie rotacyjnym. Biorą oni udział w ćwiczeniach z Polakami

O szczegóły tej wizyty pytana była później także Sobkowiak-Czarnecka, która uczestniczyła w podpisaniu kolejnej polsko-amerykańskiej umowy w sprawie gwarancji kredytowej na zakup sprzętu od USA w ramach amerykańskiego programu Foreign Military Financing.

To z jej słów wynika, że jednym z wizytującym może być podsekretarz stanu ds. kontroli zbrojeń i bezpieczeństwa międzynarodowego Thomas DiNanno.– Odwiedzi on pewne miejsca w Polsce, ale myślę, że o szczegółach będziemy informować później – zaznaczyła wiceminister. W Polsce przebywa też szef zespołu sekretarza wojny Pete'a Hegsetha, który również prowadzi rozmowy o potencjalnej lokalizacji stałej amerykańskiej bazy wojskowej.

Jako potencjalne lokalizacje amerykańskich baz wojskowych w Polsce wymieniane były dotychczas Wrocław i Poznań. Informacje te potwierdził wiceminister obrony narodowej Cezary Tomczyk. – Rejon Dolnego Śląska i Wielkopolski to prawdopodobne miejsca, gdzie baza tego typu może powstać. Przede wszystkim ze względu na to, że Polska do tej pory wydała miliardy dolarów na budowanie różnego rodzaju instalacji wojskowych na rzecz NATO, obecności sił amerykańskich i na rzecz potrzeb własnych właśnie w tych województwach – podkreślił Tomczyk. Wiceminister zaznaczył, że strona polska czeka na zakończenie przeglądu obecności wojsk amerykańskich w Europie, który prowadzi Departament Wojny pod wodzą Pete'a Hegsetha, a równolegle prowadzi rozmowy w sprawie stałej obecności Amerykanów.

Obecnie w naszym kraju stacjonuje rotacyjnie i w ramach stałej obecności około 10 tysięcy żołnierzy USA, choć zdecydowana większość z nich w formule rotacyjnej.

PAP

WYPADEK

Na miejscu katastrofy kolejowej prace trwały całą noc

Stanisław Wróbel, AS

Śledczy zabezpieczyli rejestrator z kabiny maszynisty pociągu PKP Intercity, który w środę na przejeździe kolejowym w Sokolnikach Suchych na Mazowszu zderzył się z ciężarówką.

Śledztwo w sprawie wypadku będzie prowadzić Prokuratura Okręgowa w Radomiu. Jak mówił prokurator Robert Czerwiński, monitoring znajdujący się w lokomotywie pozwoli na jednoznaczne i bezsporne ustalenie wielu istotnych okoliczności wypadku.

Na miejscu katastrofy służby pracowały całą noc ze środy na czwartek. Prokurator Aneta Góźdź z Prokuratury Okręgowej w Radomiu informowała: Przy każdym przejeździe kolejowym znajduje się skrzynka techniczna, która rejestruje wszystkie dane dotyczące sprawności przejazdu. Według zebranych informacji sygnalizacja działała dobrze.

Prokurator dodała, że kierowca ciężarówki nie został jeszcze przesłuchany. – Jego stan jest ciężki. Przebywa na oddziale intensywnej terapii. Przesłuchanie będzie możliwe dopiero po wydaniu zgody przez lekarzy.

Prokuratura będzie prowadzić śledztwo w kierunku nieumyślnego spowodowania katastrofy w ruchu lądowym. – Nie mamy podstaw, by twierdzić, że chciał doprowadzić do katastrofy. Zakładamy, że nie zachował należytej ostrożności – powiedział dla Polskiego Radia 24 prokurator Robert Czerwiński z Prokuratury Okręgowej w Radomiu.

Na miejscu zderzenia samochodu ciężarowego z pociągiem przez wiele godzin trwały czynności procesowe. Do wykonania oględzin wykorzystywany był najnowocześniejszy sprzęt. Policjanci z Laboratorium Kryminalistycznego rejestrowali miejsce zdarzenia przy użyciu skanera 3D. Czynności trwały przez całą noc.

Związek Maszynistów Kolejowych zapowiedział na piątek ogólnopolską akcję protestacyjną. Pociągi zwolnią na przejazdach kolejowo-drogowych do bezpiecznej prędkości 20 km/h. Możliwe będą duże opóźnienia na kolei.

KRÓTKO

Prawo

Kara za wjazd na przejazd na czerwonym świetle

Minister infrastruktury Dariusz Klimczak zapowiedział wprowadzenie przepisów umożliwiających zatrzymanie prawa jazdy na trzy miesiące każdemu kierowcy, który na czerwonym świetle wjedzie na przejazd kolejowy. Projekt zmian w przepisach ma być gotowy na następne posiedzenie Rady Ministrów.

Łódź

Pogrzeb ofiar niemieckiego obozu dla dzieci

W Narodowym Dniu Polskich Dzieci Wojny w Kościele św. Wojciecha w Łodzi odbyły się w czwartek uroczystości pogrzebowe dziesięciu ofiar niemieckiego obozu dla dzieci przy ul. Przemysłowej. Szczątki dzieci zostały podjęte podczas czteroetapowych prac ekshumacyjnych prowadzonych przez Biuro Poszukiwań i Identyfikacji IPN w latach 2023–2024. W wyniku przeprowadzonych badań uzyskano do tej pory genetyczną identyfikację dwóch chłopców: Zdzisława Kafarskiego i Henryka Słaboszewskiego. W uroczystościach wziął udział prezydent Karol Nawrocki.

Warszawa

Prezydenckie wątpliwości ws. Macieja Berka

Do Kancelarii Sejmu wpłynęło pismo z Kancelarii Prezydenta RP z pytaniami ws. formalnego procedowania kandydatury Macieja Berka na stanowisko sędziego TK – dowiedziała się w czwartek PAP w Kancelarii Sejmu. W środę wieczorem szef Kancelarii Prezydenta Zbigniew Bogucki powiedział, że „są gigantyczne wątpliwości co do tego, czy pan minister Berek ma dziesięcioletni staż radcy prawnego".

FOT. PAWEŁ RELIKOWSKI

Poradzimy sobie z rosyjską propagandą (...). Nie poradzimy sobie z tymi, którzy będą ją bezmyślnie, w sposób głupi albo strategiczny powielać

WŁADYSŁAW KOSINIAK-KAMYSZ
minister obrony narodowej

eprasa.pl 28709e6c16

USA

Ulubieniec Trumpa straci pozycję? Witkoff może zostać zastąpiony przez szefa CIA

Grzegorz Kuczyński

Dyrektor CIA John Ratcliffe, który niedawno złożył niespodziewaną wizytę w Moskwie, otrzymał zadanie ożywienia negocjacji w sprawie Ukrainy - donosi „Financial Times".

Na Ratcliffe'a spadną zarówno kontakty ze służbami specjalnymi, jak i dyplomacja wahadłowa między Moskwą a Kijowem - twierdzą źródła gazety w UE. Oczekuje się od niego systemowego podejścia.

„Takiej sprawy nie da się rozwiązać doraźnymi działaniami" - cytuje „FT" jedną z osób zaznajomionych z treścią rozmów. „To bardzo złożony konflikt. Potrzebna jest zorganizowana, stała praca nad każdą kwestią. Obecnie jej brakuje".

Witkoff nie chce jednak całkowicie zrezygnować z ukraińskiego kierunku i prawdopodobnie pozostanie zaangażowany w ten proces, pisze „FT". Jednak według oceny źródeł gazety jego biznesowe podejście do dyplomacji przestało odpowiadać zarówno Ukrainie, jak i Rosji. W Kijowie uważa się, że nie wywierał wystarczająco konsekwentnej presji na Putina, a w Moskwie - że ponosi część winy za niepowodzenie rozmów w Anchorage w zeszłym roku.

Biały Dom nazwał informację o zmianach w składzie zespołu ds. Ukrainy fałszywą wiadomością opartą na słowach „drobnych źródeł, które nie mają pojęcia, o czym mówią".

Ponadto gazeta potwierdziła, że Putin zamierzał spotkać się osobiście z Ratcliffem podczas ostatniej wizyty, ale ostatecznie zmienił zdanie po tym, jak szef CIA nakreślił szefom rosyjskich służb specjalnych „ponury dla Moskwy obraz wojny".

Tymczasem Donald Trump zrelacjonował w rozmowie z dziennikarzami wtorkową rozmowę telefoniczną z rosyjskim przywódcą. - Odbyliśmy świetną rozmowę. On chce zawrzeć umowę, a jeśli Zełenski chciałby zawrzeć umowę, to byłoby bardzo miło - powiedział przed wylotem do Dallas na konwencję wyborczą Republikanów.

FOT. OVSIANNIKOVA YULIIA / EAST NEWS

Steve Witkoff jest nieskuteczny w staraniach dyplomatycznych ws. wojny w Ukrainie

USA

Trump obiecuje pieniądze i pokonanie komunizmu

oprac. Anna Nagel

Zapowiedź wręczenia 5 tys. dolarów „dywidendy" dla każdego dorosłego Amerykanina była najbardziej konkretnym punktem niemal dwugodzinnego wystąpienia Trumpa na konwencji wyborczej Republikanów w Dallas.

FOT. PAP/EPA/JIM LO SCALZO

Prezydent USA Donald Trump przemawiał podczas pierwszego dnia konwencji Partii Republikańskiej w Dallas w Teksasie

Prezydent USA Donald Trump zapowiedział w środę, że każdy dorosły Amerykanin otrzyma po 5 tys. dol., jeśli Republikanie utrzymają władzę w Kongresie.

Jeśli Republikanie wygrają w Izbie Reprezentantów i Senacie Stanów Zjednoczonych (...) ze względu na naszą niesamowitą siłę i ekonomiczny sukces, wydam dywidendę każdemu dorosłemu obywatelowi w Stanach Zjednoczonych Ameryki w kwocie 5 tys. dol. – zadeklarował prezydent. Nie podał szczegółów swojego planu.

Trump przedstawiał stawkę nadchodzących wyborów połówkowych w kategoriach wyboru między dobrem i złem, określając demokratyczną opozycję jako „głupkokratów" i sympatyków komunistów, którzy cofną kraj w postępie i będą zmuszać dzieci w szkole do czytania dzieł Lenina i Stalina.

– Za 55 dni Amerykanie pójdą do urn w jednych z najważniejszych wyborów w naszej historii. Twój głos zadecyduje, czy nasz kraj potknie się na starcie kolejnych 250 lat, czy też ruszy naprzód i nigdy nie będzie oglądał się w tył – powiedział. – Pokonamy komunizm w Ameryce i zagłosujemy na amerykańską wolność – dodał.

Prezydent wymieniał swoje osiągnięcia, twierdząc, że za jego rządów do Ameryki nie przybył żaden nielegalny imigrant, a wkrótce pozbędzie się większości tych, którzy już w kraju są. Kpił z zarzutów „głupich, słabych" Demokratów i obaw o rosnące koszty życia i wojny z Iranem. Ocenił, że obawy o ceny są „szwindlem", a Ameryka wygrywa i ostatecznie wygra. Ogłosił też, pół żartem, pół serio, że nazwie cieśninę Ormuz cieśniną Trumpa.

– W końcu powinienem coś z tego mieć – skwitował.

Przemówienie prezydenta zamknęło pierwszy dzień konwencji wyborczej Republikanów przed listopadowymi wyborami do Kongresu i części władz stanowych. Odbywająca się w Dallas impreza jest pierwszym tego typu zlotem polityków partii przed wyborami połówkowymi (tj. w połowie kadencji prezydenta), bo zwykle konwencje odbywały się tylko w lata wyborów prezydenckich.

Doniesienia mediów sugerowały, że organizatorzy mieli problem ze sprzedaniem biletów na konwencję, która zbiega się z początkiem sezonu ligi NFL, choć Trump przekonywał, że są to kłamstwa, a przed halą drużyny Dallas Mavericks stała kolejka chętnych do wejścia.

Duża liczba kandydatów partii w wyścigach, w których toczy się szczególnie zażarta walka wyborcza, zdecydowała się na pominięcie i skupienie się na kampanii we własnych okręgach. To rezultat m.in. wysokich wpłat wymaganych od kandydatów za udział (25 tys. dol.), jak też rekordowo niskich notowań popularności prezydenta. Według większości badań opinii publicznej, Trumpa popiera mniej niż 40 proc. wyborców, a według badania Ipsosa dla agencji Reutera, jest to tylko 32 proc.

Konwencja organizowana jest w Teksasie, czyli stanie, gdzie rozgrywa się najgłośniejsza rywalizacja, która może zadecydować o tym, która z partii obejmie kontrolę nad Senatem. **PAP**

USA

Kobieta padła ofiarą brutalnego ataku pitbulla. Pies biegał bez smyczy

Kazimierz Sikorski

Do tragedii doszło w San Francisco, w dzielnicy Tenderloin, gdy kobietę zaatakował agresywny pitbull. Wszystko trwało kilka minut; w tym czasie przechodnie próbowali użyć gazu pieprzowego, aby odciągnąć zwierzę od ofiary.

Do zdarzenia doszło kilkaset metrów od komisariatu policji. Po przybyciu na miejsce zdarzenia funkcjonariusze użyli tyczki do łapania zwierzęcia.

Kobieta doznała poważnych obrażeń lewej dłoni i nadgarstka oraz prawej dłoni i kolana. Przewieziono ją do szpitala San Francisco General Hospital. Podłączono ją do respiratora, jest w stanie krytycznym.

Po interwencji policji pies padł na ziemię, potem zabrali go funkcjonariuszy służby San Francisco Animal Care and Control. Przyczyna śmierci psa jest niejasna – świadkowie twierdzili, że zwierzę padło w wyniku ataku policjantów.

„Podczas próby obezwładnienia pies przestał reagować; na miejscu stwierdzono jego zgon" – przekazali policjanci.

Według doniesień pies i jego właściciel często pojawiali się w Tenderloin. Bilal Mahmood, radny dzielnicy Tenderloin, napisał o incydencie: „To nie jest odosobniony przypadek. W ciągu ostatniego roku spotykaliśmy się i współpracowaliśmy z rodzinami oraz mieszkańcami dzielnicy Tenderloin, którzy doświadczyli podobnych incydentów z udziałem psów na ulicach".

NORWEGIA

Samolot Zełenskiego niemal został trafiony przez drona

oprac. Anna Nagel

Samolot prezydenta Ukrainy Wołodymyra Zełenskiego został niemal trafiony przez drona we wtorek wieczorem podczas startu z Mołdawii do Oslo – powiedział w środę premier Norwegii Jonas Gahr Stoere w publicznej telewizji NRK.

Stoere poinformował w wywiadzie dla NRK, że do niebezpiecznego zdarzenia doszło podczas startu samolotu ukraińskiego prezydenta z Mołdawii. – Jego samolot został niemal trafiony przez drona, kiedy maszyna startowała z Mołdawii. To rzeczywistość, w której Zełenski na co dzień funkcjonuje – stwierdził premier.

O problemach podczas wylotu Zełenskiego mówił również norweski minister finansów Jens Stoltenberg, który uczestniczył we wtorkowym spotkaniu z ukraińskim prezydentem. Jak przekazał NRK, Zełenski opowiedział wówczas członkom norweskiego rządu o zdarzeniu.

– Przylot prezydenta Ukrainy był wczoraj opóźniony. Miały pojawić się pewne zagrożenia dla samolotu. Sam Zełenski przyznał, że miał problemy z wydostaniem się z Kiszyniowa – powiedział NRK Stoltenberg.

Zełenski przybył do Oslo z Mołdawii we wtorek wieczorem. Spotkał się z norweskim rządem oraz przedstawicielami branży zbrojeniowej. W środę uczestniczył w państwowym pogrzebie zmarłego 28 sierpnia króla Haralda V.

PAP

eprasa.pl 28709e6c16

KOSZALIN/SŁUPSK/SZCZECIN

tygodnik Regionów

Piątek, 11.09.2026

Ustka

Kresowiak z urodzenia, ustczanin z wyboru. Ustka podziękowała mu za jego biografię

– Str. 12

Szczecin

Smart Business Forum. Zachodniopomorski biznes, a zamiana technologiczna

– Str. 16

FOT. MATERIAŁY PRASOWE POLSATU

Aktor z Gryfina jednym z faworytów „Tańca z Gwiazdami”!

Wystartowała 19. edycja „Dancing with te Stars. Taniec z gwiazdami”. Z bardzo dobrej strony zaprezentowali się Dominik Smaruj i Magdalena Tarnowska, którzy - w opinii internautów - uznawani są nawet za faworytów do wygrania Kryształowej Kuli! 34-letni aktor, znany z serialu „Pierwsza miłość” ujął też widzów swoim przywiązaniem do rodzinnego miasta Gryfina. – Str. 10 - 11

eprasa.pl 28709e6c16

W TELEWIZJI

Aktor z Gryfina jednym z faworytów „Tańca z Gwiazdami”!

W niedzielny wieczór wystartowała 19. edycja „Dancing with te Stars. Taniec z gwiazdami”. Z bardzo dobrej strony zaprezentowali się Dominik Smaruj i Magdalena Tarnowska, którzy - w opinii internautów - uznawani są nawet za faworytów do wygrania Kryształowej Kuli! 34-letni aktor, znany z serialu „Pierwsza miłość” ujął też widzów swoim przywiązaniem do rodzinnego miasta. Pierwsze kroki na scenie stawiał jeszcze w rodzinnym Gryfinie. Debiutował na deskach Teatru Uhuru, prowadzonego przez Janusza Janiszewskiego w murach Gryfińskiego Domu Kultury.

Grzegorz Racinowski

Produkcja rozważała jego kandydaturę już w kontekście poprzedniej edycji.

- Ze względu na pracę nad spektaklem oraz zajętość repertuarową we wrocławskim Teatrze Współczesnym musiałem jednak zrezygnować. Robiłem to z ciężkim sercem, bo podobno na następną taką propozycję czeka się latami. Na szczęście miałem... szczęście - uśmiecha się Dominik.

Kilka tygodni temu telefon zadzwonił bowiem ponownie.

- Okazało się, że z powodów zdrowotnych z programu zrezygnował Żurnalista. Drugą propozycję otrzymałem więc szybciej, niż się tego spodziewałem. Okazało się, że program nie koliduje z moimi obowiązkami aktorskimi w teatrze i na planie serialu. Wszystko to udało mi się ustalić w godzinę. Czekałem jeszcze tylko na potwierdzenie od dyrektora Polsatu. Pan Edward Miszczak dał mi „zielone światło” i w ten sposób znalazłem się pośród gwiazd - mówi 34-latek.

Aktorstwo kosztem nauki

Dominik Smaruj jest znany widzom jako członek obsady serialu „Pierwsza miłość”. W polsatowskiej produkcji wciela się w Filipa Wenerskiego, „studenta medycyny znanego ze swoich miłosnych perypetii”.

Choć - jak sam przyznaje – przydzielenie mu właśnie tej roli w dużej mierze wynikało ze względu na wygląd („Wizualnie pasowałem do swojego serialowego ojca”), okazało się, że ma wiele wspólnego z postacią, którą odgrywa od niemal pięciu lat.

- Filip to dla mnie trochę zamykanie spraw z przeszłości, które dziś, jako dorosły, mogę przepracować z większym dystansem. Mamy sporo wspólnego: pewien egoizm, imprezowość, skrywaną wrażliwość pod maską pewności siebie, trudność w budowaniu relacji i w komunikowaniu się z ważnymi dla nas ludźmi. Filip, tak jak ja kiedyś, próbuje znaleźć swoją drogę, a zamiast być szczerym, często przykrywa swoje lęki żartem, pieniędzmi czy pozornym luzem. Czy bym go lubił? Myślę, że jako kumpla, osobę do poimprezowania. Można na nim polegać - przyznał Dominik w rozmowie z internetowym portalem Polsatu.

Podobieństw jest więcej

- Po ukończeniu Szkoły Podstawowej nr 1 w Gryfinie zacząłem naukę w Gimnazjum nr 33 w szczecińskim Kluczu. Później dostałem się natomiast do XIV LO przy ul. Kopernika w Szczecinie. Uczyłem się w klasie biologiczno-chemicznej i miałem nawet w planach składać papiery na fizjoterapię, ale... trochę zawaliłem szkołę. Już wtedy w moim życiu pojawiło się aktorstwo, któremu oddawałem się bezgranicznie, kosztem wkuwania biologii – śmieje się Dominik.

FOT. MATERIAŁY PRASOWE POLSATU

- Każdy kolejny odcinek będzie dla mnie i Madzi nagrodą za pracę, którą wykonujemy - mówi Dominik Smaruj

Po „drugiej stronie ekranu”

Pierwsze kroki na scenie stawiał jeszcze w rodzinnym Gryfinie. Debiutował na deskach Teatru Uhuru, prowadzonego przez Janusza Janiszewskiego w murach Gryfińskiego Domu Kultury. Występował ponadto w Teatrze na Chwilę, Teatrze NOWEGO oraz w Akademii Teatru Alternatywnego w Szczecinie, Goleniowie i Wrocławiu.

- Po liceum podjąłem studia kulturoznawcze na Uniwersytecie Szczecińskim. Jednak dopiero po ich ukończeniu zacząłem realizować swoje największe, życiowe marzenie. W 2017 r. dostałem się do Akademii Sztuk Teatralnych we Wrocławiu. Dopiero tam poczułem, że znalazłem się w tym miejscu, w którym powinienem - mówi nasz rozmówca.

W grudniu 2021 r. dołączył do obsady „Pierwszej miłości”, a kilka miesięcy później uzyskał dyplom aktorski na kierunku „aktorstwo dramatyczne” wrocławskiej AST. Od czterech lat można oglądać go na deskach Wrocławskiego Teatru Współczesnego, zaś w niedzielę zadebiutuje w jednym z najbardziej popularnych telewizyjnych programów rozrywkowych.

- Dziś, gdy patrzę wstecz na swoją życiową drogę, to czuję, że sam bym tego nie wymyślił. Byłem dzieckiem, a później nastolatkiem, gdy wspólnie z bliskimi siadaliśmy w niedzielne wieczory przed telewizorem i oglądaliśmy „Taniec z Gwiazdami”. Program fascynował mnie od zawsze. To było niezwykłe doświadczenie, bo ludzie, których znałem z ulubionych filmów i seriali, nagle zaczynali wirować na parkiecie. Można było zobaczyć, jak mierzą się ze zmęczeniem, stając się przez to bliżsi nam, czyli widzom. Z ekranu kipiały emocje, bo oczywiście cała Polska żyła tym, kto odpadnie, a kto zostanie. Żaden program nie wzbudzał chyba we mnie aż takich emocji, jak właśnie „Taniec z Gwiazdami” - opowiada Dominik, dodając, że przed kilkunastoma laty nawet nie marzył o tym, by znaleźć się “po drugiej stronie ekranu”.

Tańczy ze zwyciężczynią

- Ogromną frajdą jest zobaczyć, jak wyglądają przygotowania i produkcja programu oraz jak bardzo wszystko różni się od moich młodzieńczych wyobrażeń. Wcześniej myślałem, że cały proces zamyka się w treningach i niedzielnym programie na żywo. Dość naiwnie sądziłem, że gdy kamery

eprasa.pl 28709e6c16

gasną, to uczestnicy TzG idą do domu. Nic bardziej mylnego. Jest cała masa spraw, o których nie miałem pojęcia. Niezliczona ilość zobowiązań, które sprawiają, że doba staje się krótsza. Na szczęście mogę liczyć na ogromne wsparcie mojej ukochanej żony, Urszuli Kobieli. Z nią wszystko jest łatwiejsze - akcentuje nasz rozmówca.

Wsparciem obdarza go również programowa partnerka. Producenci "Dancing with the Stars. Taniec z Gwiazdami" połączyli Dominika z Magdaleną Tarnowską. 29-latka specjalizuje się w tańcach latynoamerykańskich, w których może pochwalić się posiadaniem najwyższej klasy „S". Ogólnopolską popularność zyskała przed rokiem, gdy stworzyła świetny - nie tylko taneczny, ale również medialny – duet z Mikołajem „Bagim" Bagińskim, wygrywając 17. edycję programu.

- W 18. edycji Madzia tańczyła natomiast z Piotrem Kędzierskim. Oglądałem ich poczynania i trzymałem mocno kciuki, bo byli moją ukochaną parą! Popłakałem się ze wzruszenia, gdy zobaczyłem ich pierwszy taniec i emocje, jakie ich połączyły. Madzia jest nie tylko wspaniałą, niezwykle pracowitą tancerką, ale również cudownym człowiekiem o wielkim sercu. To ogromne wyzwanie tańczyć z kimś, kto już wygrał ten program - nie ukrywa Dominik.

Wszyscy uczestnicy oraz osoby zaangażowane w przygotowanie programu są wspaniali. Chcę czerpać garściami z każdej chwili, którą dane będzie mi spędzić w „Dancing with the Stars". Madzia jest nie tylko wspaniałą, pracowitą tancerką, ale również cudownym człowiekiem.

DOMINIK SMARUJ
aktor pochodzący z Gryfina, znany z serialu „Pierwsza miłość"

25 punktów od jury

Podczas niedzielnego programu Dominik i Magdalena zaprezentowali foxtrot we włoskim wydaniu. Jury przyznało im za taniec 25 punktów. Wyżej ocenione zostały tylko cztery pary, przy czym zwycięzcy odcinka - Mandaryna i Krystian Rzymkiewicz - uzyskali tylko o trzy punkty więcej. - Powiem Ci Dominik, że chyba specjalnie dla Ciebie zacznę oglądać „Pierwszą miłość". To był naprawdę bardzo dobry występ. Jesteś niezwykle dostojny w tańcu. Masz świadomość ciała i kontrolę nad ruchem. Widać, że umiesz bawić się z kamerą, masz ten szelmowski uśmiech. Aktorstwo na pewno pomoże ci w tym programie. Trzymam za ciebie kciuki! - powiedziała Julia Wieniawa-Narkiewicz, która debiutowała w gronie „ekspertów".

Pozytywnie występ Dominika i Magdy ocenili też internauci, którym spodobała się też „lokalno-patriotyczna" postawa 34-latka.

- Pochodzę z Gryfina, niedaleko Szczecina - odpowiedział na pytanie jury, a kamera pokazała rodziców oraz żonę, którzy wspierali Dominika z wysokości widowni.

Na co ich stać?

Zgodnie z przewidywaniami żadna para nie odpadła z programu po pierwszym odcinku. W najbliższą niedzielę Smaruj i Tarnowska zatańczą po raz drugi. Czy zaprezentują również trzeci taniec? Wszystko zależy od decyzji jury oraz esemesów wysłanych przez widzów.

Nie wiedząc, jak długo może potrwać jego przygoda z programem, Dominik zamierza przede wszystkim dobrze się bawić.

- Każdy kolejny odcinek będzie dla mnie i Madzi nagrodą za pracę, którą wykonujemy. Już teraz mogę powiedzieć, że przeżywam właśnie największą przygodę swojego życia. Wszyscy uczestnicy oraz osoby zaangażowane w przygotowanie programu są wspaniali i bardzo pomocni. Chcę czerpać garściami z każdej chwili, którą dane będzie mi spędzić w „Dancing with the Stars" - zapowiada Dominik Smaruj.

Drugi odcinek „Tańca z Gwiazdami" Polsat wyemituje w niedzielę, 13 września, o godz. 19.55.

©℗

FOT. MATERIAŁY PRASOWE POLSKATV

W niedzielę Smaruj i Tarnowska zatańczą po raz drugi.

REKLAMA 0011545472

REKLAMA 0311556299

eprasa.pl 28709e6c16

LUDZIE

Kresowiak, ustczanin z wyboru. Ustka podziękowała mu za jego biografię

Komandor w stanie spoczynku Tadeusz Konopacki, otrzymał tytuł Honorowego Obywatela Miasta Ustka. Jego życiorys mógłby wypełnić historię kilkunastu osób. Jako dziecko został wywieziony przez Sowietów na Syberię. Potem wyruszył w wędrówkę do armii gen. Andersa, znalazł się w Afryce Południowej. Po II wojnie światowej odnalazł rodzinę. Potem służył w marynarce. Choć od dawna jest na emeryturze, to nadal działa jako społecznik.

Wojciech Frelichowski

FOT. ŁUKASZ CAPAR

Kilka dni temu Rada Miasta w Ustce nadała tytuł Honorowego Obywatela Miasta komandorowi Tadeuszowi Konopackiemu. Jak informuje ustecki samorząd, komandor swoim życiorysem mógłby obdarzyć kilkanaście osób. Jest wieloletnim mieszkańcem Ustki, rocznik 1932. Oficer Marynarki Wojennej, sybirak, tułacz przez trzy kontynenty, junak armii gen. Andersa, repatriant, wychowawca młodzieży, społecznik, pamiętnikarz, żywa księgą tragicznej i bohaterskiej historii Polski.

Wojenne dzieciństwo

Jak w czytamy w uzasadnieniu przyznania komandorowi tytułu Honorowego Obywatela Miasta Ustka, jako 8-letnie dziecko w 1940 r. został wraz z rodzicami i sześciorgiem rodzeństwa wywieziony spod Lwowa na Syberię. Jego ojciec był osadnikiem wojskowym, weteranem wojny w 1920 r. Z pewnością ten fakt nie był dla Sowietów bez znaczenia. Wywiezionym zabrano wszystko, dom rodzinny, poczucie bezpieczeństwa, marzenia o przyszłości.

Po ataku Niemiec na ZSRR część starszych braci wraz z Tadeuszem ruszyli na południe, przez Turkmenię, Kirgizję i Kazachstan. Celem była tworząca się Armia Polska gen. Władysława Andersa. Po drodze jednego z braci wcielono do Armii Czerwonej, a drugiemu udało się dotrzeć do oddziałów polskich.

Tadeusz Konopacki jeszcze jako dziecko wraz z innymi dziećmi polskimi został ewakuowany przez Palestynę do Iraku. Jego dorastanie to obozy uchodźców i sierocińce na obcej, ale przyjaznej ziemi. W 1943 r. w grupie 500 polskich dzieci ocalałych z sowieckich łagrów i zsyłki, wyprowadzonych z ZSRR przez armię gen. Andersa, znalazł bezpieczne schronienie w Republice Południowej Afryki. Był tam polski sierociniec i szkoła. Ewakuacja dzieci z Iranu do RPA odbywała się drogą morską. Wtedy właśnie u 11 letniego chłopca narodziła się fascynacja morzem i marynarskim mundurem.

Powrót do Polski

Tadeusz Konopacki wrócił do kraju w 1947 r. odnaleziony przez Czerwony Krzyż i ściągnięty przez rodziców, którym udało się przeżyć i wrócić z wygnania. Dalsze losy komandora Tadeusza Konopackiego to realizacja młodzieńczego zachwytu morzem.

Ochotnicza zasadnicza służba w Marynarce Wojennej, Szkoła Podoficerska, a potem dalsza nauka i wspinanie się po szczeblach marynarskiej kariery do stopnia komandora. Zdecydowaną większość swojej służby komandor Konopacki odbył w Centrum Szkolenia Marynarki Wojennej w Ustce. W czasie tej służby wyszkolił i wychował wiele tysięcy podoficerów i marynarzy zasadniczej służby wojskowej.

„Dzielił się z nimi nie tylko wiedzą specjalistyczną, ale także opowiadał o swoich przeżyciach, a tego wówczas w podręcznikach historii nie było. Jego postawa w służbie oparta była na niekwestionowanym autorytecie wynikającym z wysokiej kultury osobistej, odpowiedzialności, odwagi i konsekwencji" – wskazuje dokument uchwały Rady Miejskiej w Ustce.

Za zasługi w służbie został odznaczony Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski.

Działalność społeczna

Po przejściu na emeryturę rozpoczął działalność społeczną, której głównym przesłaniem stało się ocalenie od zapomnienia losu dzieci takich jak on, pozbawionych dzieciństwa, upokarzanych, cierpiących, ale także znajdujących na swojej drodze bezinteresowną pomoc od obcych, mówiących innym językiem, czczących innego Boga, tworzących inną kulturę.

Komandor Konopacki zaangażował się w działalność lokalnych Stowarzyszeń Sybiraków, współorganizował wiele uroczystości z udziałem usteckiej parafii wojskowej i jednostek garnizonu upamiętniających tych, którzy doświadczyli piekła nieludzkiej ziemi.

Osobistą formą odreagowania Komandora było budowanie modeli związanych z syberyjską epopeją. Były to wagony bydlęce, którymi wywożono ludzi, wieżyczki i baraki łagrów itp. Całość twórczości modelarskiej została uroczyście przekazana do Muzeum Harcerstwa w Warszawie.

Inną formą aktywności komandora Tadeusza Konopackiego są lekcje żywej historii. Prowadzi je głównie z młodzieżą w szkołach, ale także z dorosłymi mieszkańcami Ustki i Gminy Ustka. Współpracuje ze Stowarzyszeniem Grupy Złotej „R" Marynarze Rezerwiści RP. Bierze udział w corocznych zjazdach Stowarzyszenia w Ustce i dzieli się z re-

eprasa.pl 28709e6c16

zerwistami MW swoją bogatą wiedzą historyczną. Współdziała także z kołem Nr 10 Stowarzyszenia Oficerów Marynarki Wojennej RP i kołem Nr 5 Związku Żołnierzy Wojska Polskiego.

Ustczanin z wyboru

W 2024 r. jako jedyny żyjący junak gen. Andersa w marynarskim mundurze wziął udział w uroczystościach w Wawrze upamiętniających południowoafrykańskich lotników poległych w czasie lotów z pomocą dla Powstania Warszawskiego. W uroczystości wzięła udział ambasador RPA w Polsce i generalicja wojsk lotniczych.

We wszystkich spotkaniach i uroczystościach komandor podkreśla, że jest Ustczaninem nie z urodzenia, ale z wyboru. Mimo słusznego wieku (94 lata) jest nadal wiele energii, serca i zaangażowania. Jest osobą skromną, która nie szuka zaszczytów, ale pochłania ją misja łączenia pokoleń, wzmacniania więzi lokalnej społeczności i przede wszystkim ocalenia historii od zapomnienia.

FOT. FOT. ŁUKASZ CAPAR

FOT. FOT. ŁUKASZ CAPAR

REKLAMA 0011580622

18 75
SOLANKI
Uzdrowisko Inowrocław

Jesienią Czas na zdrowie

Zakwaterowanie
3 posiłki dziennie
w formie bufetu szwedzkiego
Konsultacja lekarska
4 zabiegi dziennie
(oprócz niedziel i dni świątecznych)
90 min. dziennie w Strefie Relaksu
(sauna, jacuzzi, grota solna, siłownia)
Voucher do Integracja Cafe
Minimum 7 osobodni
w terminie 11.10.2026-23.12.2026

52 35 63 101, 52 35 63 100, 52 35 63 320
medicalspa@solanki.pl, recepcja@solanki.pl
www.solanki.pl

Materiały graficzne wykorzystane w reklamie zostały wygenerowane przy użyciu sztucznej inteligencji (AI).

eprasa.pl 28709e6c16

PASJE

Słyszą „ciuchcię” i od razu mają wypieki na twarzy. Ten ich pociąg do kolei!

Łączy ich stukot kół, magia stalowych szlaków, czar silnych lokomotyw i klimat gwizdu syren. Gdy zwykły laik usłyszy z ich ust „Dragon”, „Gagarin” czy „Byk”, zgubi się już na pierwszym zakręcie. Kolej łączy fanów, załogi konduktorskie, pasażerów i różne pokolenia. Wsiadłam do wagonu z fanami kolei

Agnieszka Domka-Rybka

Na taborowe show z okazji 175 lat kolei w Bydgoszczy przyszły tłumy. Dworzec główny PKP opanowali fani pociągów - od dzieci po seniorów. Bo to pasja, która nie ma ograniczeń wiekowych.

Przypadkiem podsłuchałam rozmowę dwóch nastolatków. Zwrócili moją uwagę, ponieważ jeden z nich włożył konduktorską czapkę. Chłopcy byli w wieku nie więcej niż 13 lat.

EU07, ET22, ST44. O co tutaj chodzi?

- Widziałeś, co dziś ciągnęło towarowy?

- „Dragon”. E6ACT. Ładny skład, ale ja mam słabość do starego „Gagarina”.

- ST44? No jasne, Zupełnie inna charakterystyka. Ten dźwięk silnika słychać z daleka.

- I właśnie za to kocham stare lokomotywy. Dziś patrzysz na numer i już wiesz, co jedzie. EU07, ET22, „Dragon”. Każda ma swój charakter.

- A ET22 to już klasyka. „Byk” potrafił pociągnąć naprawdę ciężki skład.

- Tylko spróbuj powiedzieć komuś, że rozpoznasz lokomotywę po dźwięku silnika...

- Popatrzy jak na wariata (śmiech).

Taka pogawędka dla zwykłego śmiertelnika brzmi jak rozmowa w obcym języku, czarna magia! Laik słucha i zachodzi w głowę, o co w ogóle chodzi. Sprawdzam więc dokładnie liczby, nazwy i o jakich maszynach mowa.

I tak: „Dragon” (w nowszej odsłonie jako „Dragon 2”) to nowoczesna, sześcioosiowa elektryczna lokomotywa towarowa polskiej produkcji (Newag). Została zaprojektowana z myślą o prowadzeniu bardzo ciężkich składów, takich o masie do 3200-4500 ton. Z kolei „Byk” (ET22) to jedna z naszych najbardziej charakterystycznych lokomotyw, prawdziwy siłacz na kolejowych torach, stąd przydomek „Byk”. Ciągnie bardzo długie składy towarowe. Zaś „Gagarin” (ST44) to maszyna spalinowa. Ma potężną sylwetkę, donośny dźwięk silnika, co sprawiło, że stała się jedną z najbardziej rozpoznawalnych lokomotyw wśród miłośników kolei.

Dla jednych kolej to tylko pociąg, rozkład jazdy i kilka minut oczekiwania na peronie. A dla pasjonatów - cały świat. Znają lokomotywy po numerach, potrafią godzinami rozmawiać o trasach. Pamiętają dźwięk dawnych składów i z wypiekami na twarzy wypatrują na torach nowych maszyn.

To nie jest zwykłe hobby, a sposób na życie, podróż w czasie i niezwykła społeczność ludzi, których łączy... stukot kół.

Co takiego jest w kolei, że gromadzi wokół siebie tylu pasjonatów? - zapytałam Adama Charifa, prezesa Fundacji Instytut Edukacyjny Kolej na Ciebie, organizatora jubileuszowej wystawy taboru z okazji 175 lat kolei w Bydgoszczy (22 sierpnia br.). Fundacja na co dzień integruje miłośników taboru, organizuje wydarzenia branżowe, czyli przybliża kolej ludziom.

- Młodzi i starsi miłośnicy kolei przekazują tę pasję z pokolenia na pokolenie - opowiada Adam Charif. - Dziadek był kolejarzem, mama nastawniczą i syn nie wyobraża sobie, żeby pracować gdzie indziej. Jest w tym jakaś magia, magia stalowych szlaków, magia silnych lokomotyw, gwizdu syreny. To coś, co porywa i działa na emocje. Wsiadasz i emocje jadą razem z tobą. W Bydgoszczy już tak od 175 lat, gdy dotarł tutaj pierwszy pociąg. Miasto od lat jest związane z koleją, to nie tylko ważny węzeł na mapie kraju i naszego regionu, ale także istotny ośrodek przemysłowy. W Pesie powstają lokomotywy i wagony, które jeżdżą w całej Polsce i nie tylko.

Znany youtuber chce testować nasz hit sezonu

Do Bydgoszczy chętnie wpadli również znani miłośnikom taboru influencerzy, jak m.in. Paweł, twórca popularnego kanału na YouTube 850kN, zawodowo maszynista z 14-letnim stażem na pociągach towarowych.

- Pokazuję wam, jak wygląda moja praca od środka - mówił na spotkaniu z fanami. - U nas tak już jest, że jak się nic nie dzieje, to nic się nie dzieje, a jak coś się dzieje, to... jedno za drugim i w tym samym czasie. Miałem np. taką sytuację, że na jednej służbie mój pociąg zabił, niestety, trzy gołębie. A to było dokładnie tyle samo, ile przez poprzednie 13 lat. Taka przypadłość kolejarza.

Na pytanie, przy jakiej pogodzie najgorzej prowadzi się pociąg, stwierdził, że jak jest mżawka: - Inaczej w przypadku pociągów pasażerskich i towarowych, różnica jest potężna. W pierwszym najgorsze są na pewno mgła i śnieg, bo utrudniają hamowanie pociągu. To lekkie pociągi i łatwo wpadają w poślizg przy hamowaniu. Natomiast w moim przypadku, czyli prowadzenia ciężkiego pociągu towarowego, najgorsza jest mżawka. Są wtedy problemy z podjazdem, z rozruchem maszyny. Nawet śnieg nie przeszkadza tak bardzo jak mżawka.

Na dworcu PKP w Bydgoszczy spotkaliśmy też bijącego rekordy popularności Kolejowego Mikosa (Mikołaj Stefanowski). Prowadzi kanał na YouTube, gdzie pokazuje podróże pociągami, długie trasy, testy połączeń oraz ciekawostki z polskiej infrastruktury kolejowej.

Tak wspominał swoją najdłuższą, jednorazową podróż pociągiem: - To była wyprawa pociągiem na trasie Warszawa - Chorwacja. Najpierw musiałem ze swojego Olsztyna dojechać do stolicy, tam przesiadka na Warszawie Wschodniej do pociągu do Chorwacji. Wysiadłem w słoweńskim Koprze i stamtąd pojechałem do Budapesztu sezonowym pociągiem Retro Istria Express. Zajęło mi to wiele godzin.

Kolejowy Mikos obiecał, że w przyszłym roku przetestuje nasz kujawsko-pomorski sezonowy hit, czyli pociąg „Rybitwa” z Torunia do Kołobrzegu.

Jazda pod wpływem i bez biletu. Oni tego nie znoszą!

Kolej łączy nie tylko fanów, ale także pasażerów i pracowników.

- Pasażerów zapewniam, że pociągi to bardzo bezpieczne pojazdy, porównując je z innymi środkami transportu. Jeśli zdarzają się wypadki, to najczęściej z winy kierowców samochodów lub pieszych - podkreśla prezes Fundacji Instytut Edukacyjny Kolej na Ciebie.

Czy praca na kolei jest równie bezpieczna jak jazda pociągiem?

Charif tłumaczy, że co jakiś czas dochodzi do pobić i innych aktów agresji w stosunku do pracowników. - Najczęściej zdarza się to w trakcie kontroli biletów. Niektórzy pasażerowie próbują wyłudzić kolejne darmowe przejazdy. Mają nieopłacone mandaty lub są pod wpływem alkoholu i silnie pobudzeni. Kobiety, na szczęście, pracują w załogach mieszanych z mężczyznami i zawsze mogą liczyć na ich pomoc. Drużyny są wieloosobowe. Pracownik, który zaobserwuje coś niepokojącego, prosi o wsparcie kierownika pociągu. To on odpowiada za pomoc w sytuacjach awaryjnych.

Podróżni wylewają na kolejarzy również swoje niezadowolenie, np. za spóźniony pociąg czy niedziałającą klimatyzację. Ci ludzie pracują wtedy w dużych emocjach. Mówią, że do dantejskich scen dochodzi, gdy m.in. pociąg stanie awaryjnie w szczerym polu na kilka godzin...

Warto wiedzieć, że pracownicy drużyn konduktorskich mają status funkcjonariusza publicznego, czyli w przypadku agresji na pracownika staje się to przestępstwem ściganym z urzędu.

Nie warczmy na kolejarzy - pociąg i tak dojedzie do celu, a awantura go na pewno nie przyspieszy.

©℗

FOT. ARKADIUSZ WOJTASIEICZ

W wakacje w Bydgoszczy spotkali się miłośnicy pociągów z całej Polski z okazji 175 lat kolei w tym mieście. Były tłumy - od dzieci po seniorów. Jubileuszowi towarzyszyła m.in. wystawa taboru

eprasa.pl 28709e6c16

SAMORZĄDY

Ochrona przed patologią czy zamach na samorządność?

– Od weryfikacji i przerywania złych rządów są obywatele, a nie posłowie, senatorowie czy prezesi partii, którym przeszkadza, że od trzydziestu lat ich kandydat nie może wygrać wyborów lokalnych – mówi prof. Mariusz Bidziński z Uniwersytetu SWPS

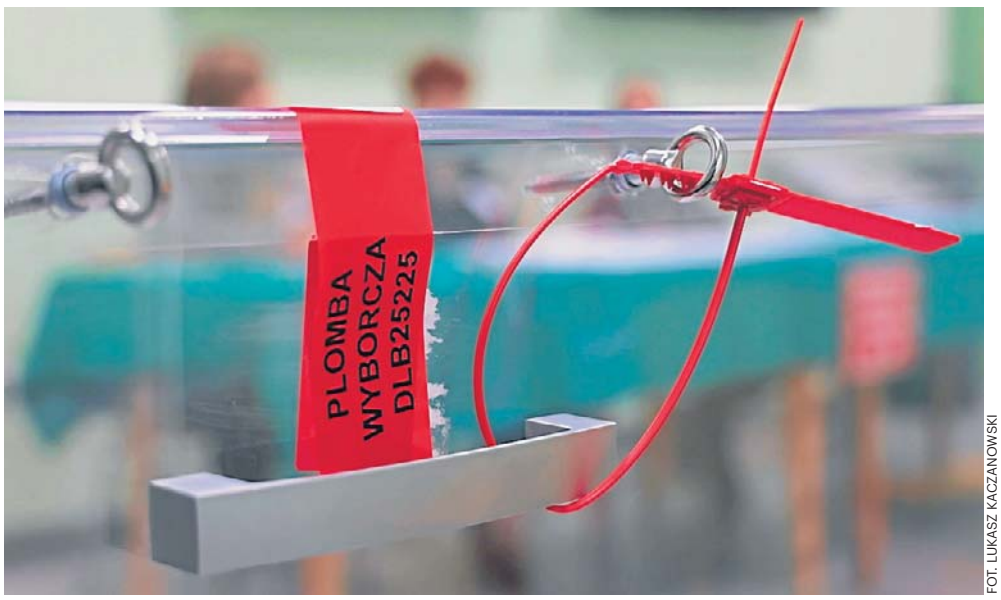

FOT. ŁUKASZ KACZANOWSKI

Ostatnie wybory samorządowe odbyły się w kwietniu 2024 roku. Kadencje są pięcioletnie, więc następne odbędą się w 2029 r.

Tomasz Dereszyński

Panie Profesorze, zacznijmy od fundamentalnego argumentu, który od ponad stu pięćdziesięciu lat porządkuje myślenie o władzy. Słynna teza Lorda Actona głosi: władza korumpuje, a władza absolutna korumpuje absolutnie. Czy brak ograniczeń kadencyjnych w samorządach nie prowadzi wprost do realizacji tego czarnego scenariusza? Moje obawy na polskim podwórku są jasne – bez ustawowego limitu dochodzi do zabetonowania lokalnych układów, powstawania klik, a w skrajnych przypadkach do jawnej korupcji. Dwukadencyjność to konieczny bezpiecznik.

To nośne, publicystyczne hasło, które świetnie brzmi, ale w rzeczywistości jest głęboko szkodliwe. Wprowadzanie limitu dwukadencyjności dla organów wykonawczych w samorządzie terytorialnym budzi moje istotne wątpliwości zarówno co do podstaw faktycznych, jak i z punktu widzenia konstytucyjnego. To jest ewidentne ograniczenie samodzielności i samorządności społeczności lokalnej. Na jakiej podstawie odgórnie decydujemy, co jest dobre dla mieszkańców?

Chociażby na podstawie obrony przed „wiecznymi włodarzami". W mniejszych gminach ryzyko zabetonowania sceny i powstania układu klientelistycznego na piętnaście czy dwadzieścia lat jest niezwykle realne. Długa władza sprawia, że instytucje przestają służyć ludziom, a ludzie zaczynają służyć instytucjom. Rotacja elit przynosi świeże pomysły, zapobiega zmęczeniu władzą i oderwaniu od rzeczywistości. Co w tym złego, że państwo przeciwdziała takim patologiom?

Złem jest stosowanie odpowiedzialności zbiorowej. Jeśli w jakiejś gminie przez dwadzieścia lat powstał układ patologiczny, to ustawodawca przerzuca ten zarzut na wszystkie pozostałe jednostki w Polsce, gdzie żadnych patologii nie ma, a włodarz po prostu robi świetną robotę. Przecież podstawą demokracji jest to, że o wyborze decydują lokalni mieszkańcy, a nie politycy z Warszawy. Jeśli obywatele są zadowoleni ze swojego wójta czy burmistrza, to dlaczego na siłę, sztucznymi barierami instytucjonalnymi, mamy im go zabierać? To wyraz braku zaufania do inteligencji wyborców.

Ale czy naprawdę wierzy Pan, że w małej społeczności lokalny obywatel ma realną siłę, by bez pomocy ustawy rozbić zabetonowany układ?

Oczywiście, że ma. Od weryfikacji i przerywania złych rządów są obywatele, a nie posłowie, senatorowie czy prezesi partii, którym przeszkadza, że od trzydziestu lat ich kandydat nie może wygrać wyborów lokalnych. Mieszkańcy mają do dyspozycji realne instrumenty: mogą po prostu nie zagłosować na dotychczasowego wójta w kolejnych wyborach, mogą wybrać radę gminy będącą w kontrze do organu wykonawczego, a wreszcie mają instytucję referendum odwoławczego, czego świetnym przykładem były niedawne wydarzenia w Krakowie.

Referenda bywają trudne do przeprowadzenia i kosztowne. Może więc rozwiązaniem pośrednim byłoby to, co znamy m.in. z niektórych stanów w USA – limit kadencji pod rząd, ale z możliwością powrotu do kandydowania po jednej kadencji przerwy? Taka pauza dałaby wspomniane „przewietrzenie" i czas na odpoczynek.

Taki model – dwie kadencje, przerwa i możliwość ponownego startu – jest już bardziej racjonalny i wart rozważenia. Natomiast największym problemem obecnej sytuacji jest całkowity brak logiki i spójności systemowej. Wprowadzono limit dwukadencyjności wyłącznie dla organów wykonawczych samorządów, nie opierając tej decyzji na jakichkolwiek badaniach naukowych, analizach ekonomicznych, społecznych czy prawnych. To była decyzja czysto polityczna, a nie przemyślana reforma prawa. Dlaczego ograniczamy tylko wójtów, burmistrzów i prezydentów, a pomijamy starostów czy marszałków województw?

Jeśli więc dwukadencyjność jako zasada ma u nas pozostać, to Pana zdaniem należy ją rozszerzyć również na inne grupy, na przykład na parlamentarzystów?

Dokładnie tak. Skoro wnioskodawcy twierdzą, że limitowanie kadencji jest jedynym lekiem na kolesiostwo, układy i betonowanie sceny, to bądźmy konsekwentni i zastosujmy to systemowo w całym państwie. Wprowadźmy limit maksymalnie dwóch kadencji dla posłów, senatorów, a nawet ministrów. Co więcej, moim zdaniem to właśnie na poziomie parlamentarnym zjawiska patologiczne, betonowanie układów i dbanie o własne interesy są znacznie większe i groźniejsze niż w samorządach. W małej polityce lokalnej PiS, PO i PSL i inne partie potrafią świetnie współpracować przy konkretnych projektach, podczas gdy na szczeblu centralnym mamy do czynienia z nieustanną, niszczącą wojną partyjną.

W parlamencie rotacja jednak następuje przy każdych wyborach.

Ale liderzy i układy personalne pozostają bez zmian od lat. Co ważne, na posłów i senatorów nie mamy takiego „trzymania" jak na samorządowców. Sejmu i Senatu nie da się odwołać w trakcie kadencji za pomocą referendum obywatelskiego. Jeśli więc ktoś w Polsce jest naprawdę nieusuwalny przez czas trwania mandatu, to właśnie politycy w Warszawie. Ograniczenie im kadencji do np. maksymalnie ośmiu lat zmusiłoby ich do realnej pracy nad obietnicami wyborczymi, bo wiedzieliby, że ich czas jest policzony. To mógłby być skuteczny bat na polityków i szansa na zakończenie trzydziestoletniej wojny polsko-polskiej.

Skoro krytykuje Pan brak logiki w zmianach samorządowych, to jak ocenia Pan wydłużenie kadencji samorządowej z czterech do pięciu lat? Przecież to daje włodarzom więcej czasu na realizację trudnych inwestycji.

W dzisiejszych czasach rok to bardzo długo; wszystko dzieje się niezwykle dynamicznie. Uważam, że dotychczasowy okres czteroletni był optymalny. Tłumaczenie tego wydłużenia nakładaniem się kalendarzy wyborczych było całkowicie chybione – w perspektywie kilkudziesięciu lat wybory i tak będą się na siebie nakładać. To kolejny przykład zmian robionych ad hoc, bez systemowej refleksji.

Patrząc na ten chaos legislacyjny, czy receptą nie byłaby po prostu głęboka nowelizacja konstytucji? Może wzorem Stanów Zjednoczonych powinniśmy wprowadzać punktowe poprawki korygujące ustrój?

Zmiany w ustawie zasadniczej można wprowadzać tylko wtedy, gdy po stronie dyskutantów mamy ludzi inteligentnych, merytorycznych i odrzucających czystą politykę. Przy obecnym, skrajnym konflikcie i próbach wprowadzania na siłę systemów quasi-prezydenckich, wiercenie dziur w konstytucji skończy się tylko pogorszeniem sytuacji. Problem zresztą nie leży w samej konstytucji, ale w złej woli polityków, którzy interpretują jej przepisy wyłącznie pod własny, bieżący interes polityczny, ignorując jej treść i intencje twórców.

Może więc błąd tkwi w samym systemie rekrutacji do polityki? Czy nie powinniśmy wprowadzić obiektywnych kryteriów dla kandydatów na posłów czy senatorów, na przykład wymogu wyższego wykształcenia, chociażby prawniczego?

Zdecydowanie nie. Dyplom wyższej uczelni ani nawet tytuł naukowy przed nazwiskiem nie są żadną gwarancją inteligencji, zdolności koncepcyjnych czy umiejętności zarządzania. Często ludzie bez wyższego wykształcenia mają większe doświadczenie życiowe i są bardziej rozgarnięci od profesorów. Jedyne ograniczenie, nad którym poważnie bym się zastanowił, to wiek. Obecna granica 18 lat do Sejmu wydaje się zbyt niska. Podniesienie jej do 25 lub 30 lat mogłoby zagwarantować, że do parlamentu trafiać będą osoby bardziej dojrzałe, odporniejsze na manipulacje i negatywne wpływy polityczne.

Podsumowując: Pana recepta na uzdrowienie samorządu to likwidacja sztucznej dwukadencyjności, ale przy wprowadzeniu pełnej transparentności umów i dokumentów finansowych urzędów w czasie rzeczywistym?

Dokładnie tak. Obywatele muszą mieć bieżący, natychmiastowy wgląd w każdą umowę i każdą wydaną złotówkę z ich podatków, a nie czekać na ujawnienie afer po kilku latach. Pełna jawność powstrzyma patologie znacznie skuteczniej niż zakazy kadencyjne. Jeśli mamy ograniczać kadencje, róbmy to mądrze, systemowo i przede wszystkim zacznijmy od samej góry – od Sejmu i Senatu.

eprasa.pl 28709e6c16

ZACHODNIOPOMORSKIE

Smart Business Forum. Regionalny biznes a technologiczny wyścig

Sztuczna inteligencja, roboty, cyberbezpieczeństwo, finansowanie rozwoju firm i współpraca biznesu z samorządem. To tematy, wokół których skoncentrowało się Smart Business Forum w Szczecinie. Wydarzenie organizowane przez Zachodniopomorską Agencję Rozwoju Regionalnego zgromadziło dziesiątki uczestników.

Agata Maksymowicz

FOT. ANDRZEJ SZKOCKI

FOT. ANDRZEJ SZKOCKI

Program Forum zbudowano wokół wyzwań, z którymi mierzą się obecnie firmy Pomorza Zachodniego. - Szukając największego wyzwania dla biznesu, w pierwszej kolejności zwróciliśmy uwagę na zmianę technologiczną – mówi Andrzej Przewoda, prezes ZARR. – Od tego zaczęliśmy planowanie agendy Forum. Chcieliśmy spojrzeć na problematykę nowych rozwiązań i AI z różnych perspektyw - samorządu, instytucji gospodarczych, świata nauki i przede wszystkim przedsiębiorców.

Prelekcje objęły m.in. prezentacje możliwości oferowanych przez Microsoft Copilot, a także sposoby na zapewnienie bezpieczeństwa przy korzystaniu z AI. Wykład poprowadził Łukasz Szydłowski z Microsoft (TD Synnex). Z kolei Marcin Maj z Niebezpiecznik.pl przybliżył zagrożenia związane z wykorzystywaniem AI w firmach, pokazując m.in. praktyczne przykłady ryzyka dla danych i prywatności.

Jednym z tematów, który wzbudzał szczególne zainteresowanie, były roboty humanoidalne. Dyskusje o zastosowaniu ich w biznesie dotyczyły nie tylko możliwości technologicznych, ale także pytań, czy tego typu rozwiązania mogą w przyszłości pomóc firmom mierzącym się z niedoborem pracowników. Wiele osób pojawiło się też na widowni dla himalaisty Adama Bieleckiego, który opowiadał czym jest sukces z punktu widzenia sportowca ekstremalnego.

Istotną częścią wydarzenia były panele dyskusyjne. Pierwszy poświęcono warunkom rozwoju nowoczesnych przedsiębiorstw i współpracy samorządu z biznesem. Udział w nim wzięły m.in Magdalena Ławicka z Klastra IT, a także Ewelina Świergiel, dziekan Wydziału Zachodniopomorskiej Szkoły Biznesu. Drugi koncentrował się na praktycznym wymiarze wdrażania innowacji, transformacji cyfrowej, zwiększaniu efektywności i budowaniu przewagi konkurencyjnej. W dyskusji udział wzięli m.in. Kamil Nowak z DevOxy, Grzegorz Szalast z gispro czy Michał Suchocki z CyCommSec.

- Chcieliśmy połączyć nasze dotychczasowe doświadczenia z nową formułą – podkreśla Andrzej Przewoda. - Wielokrotnie spotykaliśmy się z naszymi partnerami biznesowymi, prezentując dostępne narzędzia finansowe, z których mogą korzystać przedsiębiorcy. Kiedy zastanawialiśmy się, co jeszcze możemy dla zrobić, zdecydowaliśmy, że zwrócimy się w stronę nowoczesnych narzędzi i sposobów ich wykorzystania. W ten sposób powstało wydarzenie, które było nie tylko przeglądem nowych technologii, ale także próbą połączenia różnych perspektyw.

FOT. ANDRZEJ SZKOCKI

FOT. ANDRZEJ SZKOCKI

eprasa.pl 28709e6c16

Plon, niesiemy, plon. Jak politycy żywią się dożynkami – Str. 24 - 25

PULS *regionów*

Halt!

Czyli jak zatrzymać marsz po władzę skrajnej prawicy w Europie

– Str. 20 - 23

BT

eprasa.pl 28709e6c16

MOIM ZDANIEM

ADAM BUŁA
szef Newsroomu Centralnego

Pomarańczowy zbawca kusi zielonymi

Donald Trump nie rozmienia się na drobne. Właśnie ogłosił, że utrzymanie się przez niego u władzy będzie amerykańskich podatników kosztować 1,2 biliona dolarów. Każdy Amerykanin dostanie bowiem 5 tys. dolarów, jeśli Republikanie utrzymają po listopadowych wyborach połówkowych przewagę w Kongresie. W przeciwnym razie Trump stanie się „kulawą kaczką", jak w USA określa się drugą połowę kadencji prezydenta, który bez wpływu na ustawodawstwo niewiele już może porządzić.

Pomijając nawet „kaczkę", której idzie coraz gorzej i nasze 500+, to analogii między sytuacją amerykańskiego ruchu MAGA a obecnymi problemami naszej prawicy populistycznej jest wiele. Nawet mimo drobnego faktu, że trumpiści mają jeszcze pełnię władzy, a nasi się dopiero do powrotu do niej przymierzają.

Głównym problem obu towarzystw jest coraz mniej skuteczne zaklinanie rzeczywistości, gdy ta uparcie wygląda inaczej, niż w ich opowieściach. Trzeba być naprawdę twardym miłośnikiem wizji alternatywnych, by brać na wiarę kolejne zapewnienie Trumpa, że zaraz wygra wojnę z Iranem, którą już 15 razy wygrał poprzednio. Gorzej, gdy Trump zaczyna opowiadać o rozkwicie Ameryki i portfeli jej obywateli, bo to oni akurat widzą wprost. W każdym razie poparcie dla prezydenta w okolicach 33-36 proc. zdaje się na to wskazywać.

Dlatego kolejne brawurowe wizje alternatywne Trumpa – tak jak ostatnia, że strażacy wyciągali go spod gruzów WTC, irytują już nie tylko jego zagorzałych wcześniej przeciwników.

U nas podobny mechanizm da się wkrótce zauważyć, gdy kolejny polityk z prawej strony, przyłapany na korzystaniu z brudnej kasy ZondaCrypto będzie zapewniał, że to przez Tuska. Dla historii pewnie warto zachować tu wypowiedź posłanki PiS Anny Zalewskiej, że biedny Ziobro „został narażony na branie pieniędzy od złodziei", bo mu Tusk nie powiedział, że to nieładnie...

Równie słabo, jak w obronie wet ustawy w tej sprawie, Karol Nawrocki zaczyna też wyglądać na wielkich targach przemysłu zbrojeniowego w Kielcach, gdzie z dumą przemawia, jak to dobrze, że polski przemysł obronny się dynamicznie rozwija. „...Dzięki temu, że rządowi udało się ominąć jego weto do programu SAFE" – dodaje zaraz potem minister obrony i – jakby tematu nie poobracać – bliżej mu do rzeczywistego przebiegu wypadków.

Przedwyborcze 5 tysi od Donalda obrazuje też drugi problem prawicowych populistów. Coraz trudniej bowiem utrzymać im pozory działania w ramach norm liberalnej demokracji, nawet w wymarzonej formule atrapy przykrywającej „miękki autorytaryzm". Systemu, którego stworzenia najbliżej był Orban na Węgrzech.

Po raz pierwszy bowiem określenie „kiełbasa wyborcza" nie jest opinią na temat przedwyborczych propozycji jakiejś partii, jest faktem! Wszystkie formuły 500+, kolejne piątki i HatTricki Kaczyńskiego i jego odpowiedników w świecie były ubierane w partyjne programy rozwoju i dobrobytu dla wszystkich. Trump się już nie pieści – daje 5 tysięcy tylko za to, że dostanie głos.

Oba procesy działają na zasadzie sprzężenia zwrotnego: im bardziej opowieść mija się z rzeczywistością, tym bardziej absurdalne lub radykalne pomysły na utrzymanie wyznawców; przedłużenie lub powrót do władzy.

Nasi mają już tylko rok, żeby przelicytować pomarańczowego Jezuska.

Z CZEGO JUTRO ...?

ANDRZEJ SADOWSKI
Centrum im. Adama Smitha

Operacja „Leniwość" vs „Mocarstwo nad Wisłą"

Próba zbudowania przez biurokrację „zielonego raju" opartego na dominacji usług, usadowionego na popytowym państwie socjalnego dobrobytu gwarantowanego dochodu (termin własny), stymulowanym podatkami i wydatkami oraz długiem, ale bez podstawy w taniej energii i silnym przemyśle jest utopią prowadzącą do bankructwa tej dystopii, w której władza przyśpieszyła kontrolę każdego aspektu życia. Historia nie zna cywilizacji, która by przetrwała, konsumując więcej, niż produkowała i finansując to długiem.

Zauważalny upadek niemieckiej dominacji przemysłowej od momentu ograniczenia dostępu do rosyjskich surowców energetycznych po dumpingowych cenach, którego kolejnym ikonicznym etapem jest seryjna likwidacja fabryk Volkswagena, otwiera historyczne okno możliwości dla państw środkowej części Europy. Proces wyzwalania się z asymetrycznych korzyści będzie dla tych państw wstrząsem przypominającym w części ten, przez jaki przeszła Finlandia na początku lat 90. wieku XX po utracie rynku Związku Sowieckiego, ale daje realną szansę na awans z pozycji „peryferii dostarczających trybut hegemonowi" na pozycję podmiotowego gracza na globalnej scenie.

Czy rządy w Polsce, tak jak przygotowywały warianty obrony państwa po ataku Rosji, przygotowały zmianę paradygmatu polityki wobec zauważalnie zachodzącego przełomu w Unii i wykorzystania szansy na ponowne od roku 1988 wejście na wyższą orbitę rozwoju gospodarczego oraz jakości życia? Początki głębokich wstrząsów społecznych i politycznych przy stagnacyjnych gospodarkach w państwach Unii mogą być katalizatorem narodzin nowych potęg ekonomicznych.

Jeśli w obliczu osłabiania Niemiec przepisany zostanie ze zrozumieniem scenariusz Finlandii do Polski oraz wykorzystane zostaną własne doświadczenia z przełomu lat 80. i 90. wieku XX, to bez trudu można dostrzec szansę na wielki skok cywilizacyjny, choć droga do niego będzie wymagała likwidacji dysfunkcjonalnych instytucji państwowych i zastąpienia ich nowoczesnym serwisem usług publicznych.

Sygnałem do rozpoczęcia operacji naszego państwa, której można nadać kryptonim „Następne 100 lat. Mocarstwo nad Wisłą" od tytułu książki Georga Friedmana, jest wystąpienie przewodniczącej związku zawodowego biurokracji unijnej zwanego Komisją Europejską. Prywatny majątek ludzi, którzy ciężko pracowali, a zaoszczędzone pieniądze odłożyli w banku, nazwała bezceremonialnie zasobem „leniwym". Wystąpienie to nie pozostawia już jakichkolwiek medycznych wątpliwości co do głęboko zakorzenionej mentalności władzy trybutarnej i jej przekonania, że ostatecznym dysponentem owoców pracy jednostki jest kolektyw biurokratyczny w centrum budowanego imperium.

Model oparty na etatyzmie i przeregulowaniu znalazł się w fazie systemowego wyczerpania, zwłaszcza pieniędzy. Historia uczy, że systemy mogą trwać bardzo długo siłą rozpędu i propagandy, ale matematyka finansowa zawsze okazuje się od nich silniejsza. Zamiast pozwolić na rynkową alokację kapitału poprzez wolność gospodarczą, komisja tworzy tysiące stron prawa, które wręcz nakazują firmom, co mają produkować, ile emitować i jak raportować. Gdy system centralnego dyrygowania zaczyna przegrywać z realnym rynkiem z USA czy z Chin, biurokracja nie dochodzi do wniosku, bo nie jest „instytucją samouczącą się", że popełniła błąd i należy zlikwidować regulacje. Reaguje jak prawie każdy upadający autorytarny reżim, który jest przekonany, że system działa źle, bo jest za mało kontroli, dlatego też należy poddać jej także oszczędności obywateli.

Upadek niemieckiej gospodarki zdestabilizuje dotychczasowy układ sił. Jeśli rządy w Warszawie, Pradze czy Bratysławie zareagują na to po „brukselsku", czyli próbując stworzyć własne narodowe ministerstwa ds. innowacji, dotując uprzywilejowane politycznie projekty i wprowadzając kolejne regulacje, powtórzą ten sam błąd, który niszczy dziś Berlin.

W warunkach globalnej dominacji Azji i USA, Polska oraz inne państwa ze środkowej Europy wygrają przyszłość tylko wtedy, gdy staną się gospodarczymi kontrrewolucjonistami kontynentu i strefą głębokiej deregulacji jak w ustawie Wilczka, a nie z raportu Draghiego.

Andrzej Sadowski założyciel i prezydent Centrum im. Adama Smitha – pierwszego w Polsce think tanku, działającego od 16 września 1989 roku

Donald Tusk: Katastrofa w Sokolnikach Suchych pokazuje, że trzeba rozpocząć pilną pracę nad radykalnym zaostrzeniem przepisów dla osób, które systematycznie wyjeżdżają na przejazdy kolejowe

FOT. ADAM JANKOWSKI

eprasa.pl 28709e6c16

STOPKLATKA

FOT. MEDIA SPOŁECZNOŚCIOWE A. POCZOBUTA

↑

Andrzej Poczobut wrócił do rodzinnego Grodna. W swoich mediach społecznościowych pokazał zdjęcie, na którym widać, jak stoi na tle Niemna i starego zamku. Bliscy dziennikarza i działacza polonijnego twierdzą, że spędzi on na Białorusi tydzień. W Grodnie spotyka się z działaczami polonijnymi, z którymi współpracował przed aresztowaniem w 2021 roku

FOT. PAP/LESZEK SZYMAŃSKI

↑

Na przejeździe kolejowym w Sokolnikach Suchych doszło do tragedii. Rozpędzony pociąg Intercity jadący z Lublina do Szczecina zderzył się z ciężarówką. W efekcie cały skład się wykoleił. W pociągu znajdowało się 114 osób. Jedna z nich zmarła, a cztery inne (w tym kierowca ciężarówki i maszynista) są ciężko ranne. Podobno kierowcę oślepiło słońce

FOT. PAP/EPA

→

25. rocznica zamachu terrorystycznego na World Trade Center (zdjęcie z 11 września 2001 r.). Wtedy zatrzymał się cały świat i z przerażeniem patrzył na to, co się działo w Nowym Jorku. A problem radykalizmu islamskiego do dziś jest obecny w świadomości mieszkańców Zachodu. Wynik AfD w Saksonii-Anhalt w pewnym stopniu też jest tego efektem

FOT. EAST NEWS

←

George, najstarszy syn następcy brytyjskiego tronu Williama, rozpoczął naukę w Eton. 13-letniego syna pierwszego dnia nauki do szkoły odprowadzili rodzice. W komentarzach dominowały uwagi, że George jest już wyższy od matki

eprasa.pl 28709e6c16

POLITYKA

Dr Zitelmann: Niemcy są pogrążone w mentalnym zamęcie. Polityka jest jedynie konsekwencją, a nie przyczyną

– W całej Europie wyborcy coraz bardziej odwracają się od partii lewicowych i to pozytywne zjawisko. Niestety, nie zwracają się w stronę klasycznych liberałów i libertarian. Zamiast tego przechodzą na stronę prawicowych populistów – mówi dr Rainer Zitelmann, niemiecki historyk i przedsiębiorca

Agaton Koziński

Od 2023 roku PKB Niemiec rośnie w tempie poniżej 1 procenta rocznie. Dlaczego kraj, który niegdyś był uważany za lokomotywę gospodarczą Europy, tak bardzo zwolnił?

Sytuacja jest jeszcze gorsza, niż pan to przedstawił. Niemcy nie odnotowują wzrostu gospodarczego już od siedmiu lat. Każdego miesiąca znika 12 tysięcy miejsc pracy w przemyśle. Przyczyną tego stanu rzeczy są motywowane przede wszystkim ideologicznie polityki, znane jako Energiewende (transformacja energetyczna) oraz Mobilitätswende (transformacja mobilności). Obie krok po kroku przekształcają niemiecką gospodarkę rynkową w gospodarkę planową. A gospodarki planowe nigdy nie działały.

Czy problemy gospodarcze Niemiec to główny powód tak szybkiego wzrostu poparcia dla AfD?

Ten wzrost wynika przede wszystkim z kolejnych przegranych największych partii w poszczególnych obszarach. Wspomniałem już o gospodarce. Kolejną porażkę Niemcy poniosły w zakresie polityki imigracyjnej. Ludzie nie czują się już bezpiecznie we własnym kraju. W samym Berlinie, mieście liczącym 3,9 miliona mieszkańców, odnotowuje się znacznie więcej przestępstw niż w całej Polsce, której populacja wynosi 38 milionów. W stolicy Niemiec niemal codziennie dochodzi do strzelanin z udziałem klanów przestępczych. Na to jeszcze nakłada się katastrofa w edukacji – dziś zaledwie 40 proc. piętnastolatków w Niemczech ledwo potrafi czytać lub wykonywać podstawowe obliczenia matematyczne.

Do tej pory partie głównego nurtu utrzymywały wokół AfD kordon sanitarny – zarówno na szczeblu krajowym, jak i w Bundestagu. Czy po ostatnich wzrostach tej partii jest to dalej możliwe?

Byłbym za współpracą z AfD w niektórych landach, zwłaszcza we wschodnich Niemczech, gdzie ta partia ma silną pozycję. Ale trzeba też pamiętać, że w szeregach AfD jest wielu narodowych socjalistów. To stanowi problem i przemawia przeciwko współpracy na szczeblu federalnym. Proszę zwrócić uwagę, jakie koncepcje przedstawia AfD w poszczególnych kwestiach politycznych, choćby w zakresie polityki zagranicznej. Pod tym względem to zdecydowanie najgorsza partia w Niemczech.

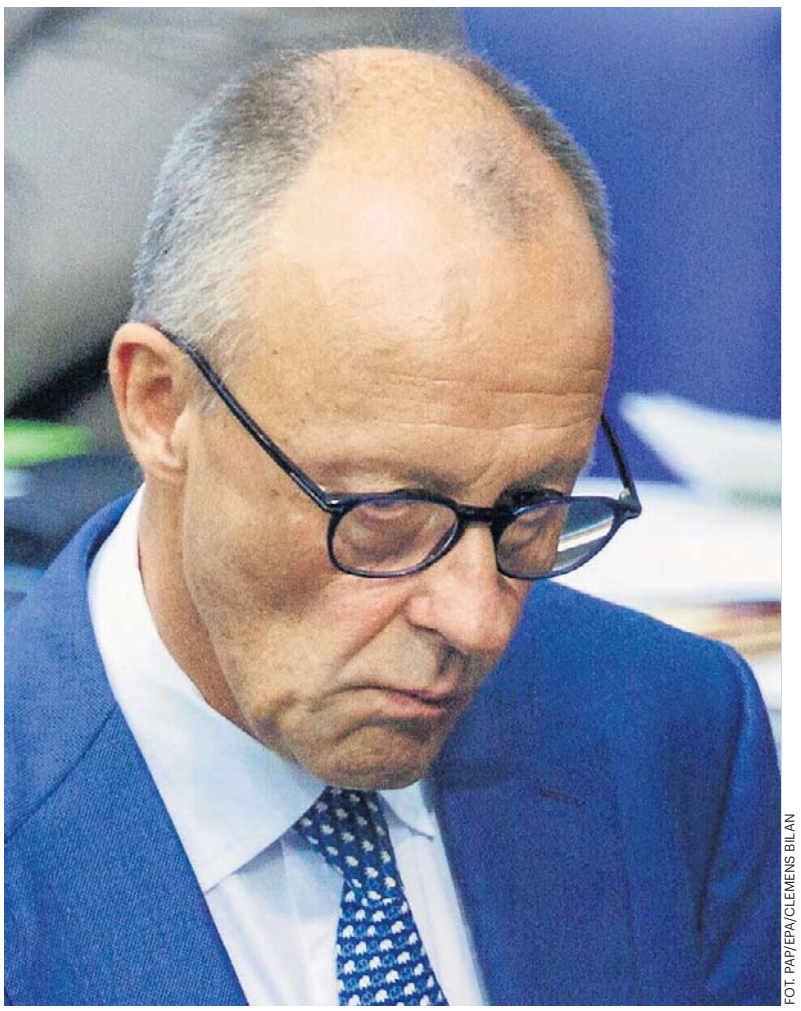

FOT. PAP/EPA/CLEMENS BILAN

Zitelmann: Niemcy nie mają wzrostu gospodarczego od siedmiu lat. Każdego miesiąca znika 12 tys. miejsc pracy w przemyśle

Wśród tych pomysłów jest choćby koncepcja mocniejszego zacieśnienia więzi – zarówno politycznych, jak i gospodarczych – z Rosją i Chinami. Biorąc pod uwagę stanowisko tych krajów w sprawie wojny na Ukrainie, brzmi to bardzo niepokojąco. Czy mamy powody, by się obawiać?

Warto posłuchać, co mówią poszczególni liderzy AfD. Jeśli przeczytacie przemówienia Tino Chrupalli, zauważycie, że brzmią one tak, jakby zostały napisane na Kremlu. Jego słynne zdanie brzmi: „Putin hat mir nichts getan" („Putin nic mi nie zrobił"), które wygłosił w listopadzie 2025 r. w czasie debaty telewizyjnej.

Tamte słowa były rzeczywiście szokujące – tym bardziej, że były wygłaszane w debacie, w której brał udział znany rosyjski dysydent Władimir Kara-Murza.

To nie była jedyna taka sytuacja. W rocznicę zwycięstwa radzieckiego w II wojnie światowej świętował wraz z Rosjanami w ich ambasadzie i nosił krawat w barwach narodowych Rosji. Nie jest w tym swoim podejściu osamotniony. Jeden z przywódców AfD w Saksonii-Anhalt Thomas Tillschneider jest wielkim fanem Putina. Dał się sfotografować z rosyjską flagą, a także wyrażał publicznie podziw dla syryjskiego dyktatora Baszszara al-Asada. Zresztą cała partia regularnie sięga po rosyjskie narracje w poszczególnych kwestiach. AfD wzywa do wycofania amerykańskich wojsk z Niemiec, podżega przeciwko Ukraińcom i Ukrainie oraz sprzeciwia się wszelkim dostawom broni na Ukrainę. Oczywiście odstrasza to wielu rozsądnych ludzi. Jednak we wschodnich Niemczech wiele osób jest prorosyjskich, zupełnie inaczej niż w Polsce. Trudno to zrozumieć.

Rozmawialiśmy dwa lata temu w związku z Pana badaniami nad źródłami bogactwa. Wówczas zwrócił Pan uwagę na negatywne zmiany zachodzące w Niemczech. Ale też wyborcy akceptowali ten stan rzeczy, obywatele Niemiec byli zadowoleni ze status quo oferowanego im przez partie głównego nurtu. Dlaczego sytuacja zaczyna teraz wyglądać inaczej?

W czasach, gdy urząd kanclerza sprawowała Angela Merkel, wielu Niemców nadal było zadowolonych z sytuacji w kraju. Ja jednak już wtedy przewidziałem, co nastąpi później. Nazwałem Merkel „bombą zegarową" – bombą, która wybucha dopiero po pewnym opóźnieniu.

Merkel przestała sprawować władzę w Niemczech w 2021 r.

A teraz dzieje się to, czego się spodziewałem: zaczynają na wierzch wychodzić kolejne problemy. Nasza infrastruktura jest zaniedbana i niszczeje. Bundeswehra nie funkcjonuje prawidłowo. Konsekwencje polityki migracyjnej okazały się katastrofalne, a jednocześnie co roku setki tysięcy wysoko wykwalifikowanych Niemców opuszcza kraj. Skutki błędnej polityki często ujawniają się dopiero wtedy, gdy osoba za nią odpowiedzialna nie sprawuje już urzędu. Tak było w przypadku Merkel.

Sondaże pokazują, że 20 proc. młodych Niemców coraz częściej rozważa wyjazd z kraju. Dlaczego? Dokąd właściwie można wyjechać z Niemiec?

Pod tym względem zaszła w Niemczech istotna zmiana. Dziś trudno już spotkać młodych ludzi lub przedsiębiorców, którzy przynajmniej nie rozważaliby opuszczenia Niemiec. Jednym z powodów jest to, że obciążenia podatkowe i składki na ubezpieczenie społeczne są wyższe niż niemal gdziekolwiek indziej na świecie. Jednak, mimo że płacimy tak wysokie podatki, w zamian otrzymujemy bardzo niewiele. Jednocześnie Niemcy wydają na pomoc rozwojową więcej niż prawie jakikolwiek inny kraj na świecie – aż 29 miliardów euro rocznie. Pieniądze te przeznaczane są na absurdalne projekty, takie jak „zielone meczety" w Maroku, „pozytywna męskość" w Rwandzie, ścieżki rowerowe w Peru czy zawody zapaśnicze w Ugandzie – te ostatnie faktycznie finansowane przez UE – jako środki mające na celu walkę ze zmianami klimatycznymi. Jed-

eprasa.pl 28709e6c16

FOT. PAP/EPA/CLEMENS BILAN

Zitelmann: Chrupalla stwierdził, że Putin nic mu nie zrobił, zasugerował, że Polska może stanowić zagrożenie dla Niemiec. Nie potrafię zrozumieć, jak polscy patrioci mogą współpracować z AfD (na zdjęciu od lewej: liderzy AfD Tino Chrupalla, Ulrich Siegmund, Alice Weidel)

nocześnie coraz więcej osób w Niemczech utrzymuje się z zasiłków socjalnych. Dwie trzecie z nich to obcokrajowcy lub osoby o pochodzeniu spoza Niemiec.

Chodzi Panu o dzieci migrantów?

Tak. To wszystko sprawia, że ogólny nastrój w Niemczech po prostu się pogorszył. Jeśli odnosisz sukcesy, na przykład jako przedsiębiorca, nie jesteś za to podziwiany. Odwrotnie, taka osoba staje się obiektem zazdrości i ataków. Z tego powodu wielu Niemców woli przenieść się do Szwajcarii lub Austrii, mimo że tam też nie wszystko jest idealne. Jeden z przedsiębiorców, którego znam, mieszka obecnie w Abu Zabi, a inny w Szwajcarii.

AfD przedstawia się jako partia, która stawia na kapitalizm, odbudowę wolnego rynku w Niemczech. Czy traktuje Pan te wypowiedzi poważnie?

Kiedy powstała AfD, w jej szeregach było wielu klasycznych liberałów. Jednak spośród 16 założycieli tylko trzech pozostaje w partii do dziś. Wielu libertarian i liberałów odeszło. Zwłaszcza we wschodnich Niemczech są tacy ludzie jak Björn Höcke, który jest antykapitalistą, mówi o „patriotyzmie społecznym" i atakuje bogatych. Tillschneider, czołowy polityk AfD z Saksonii-Anhalt, oświadczył niedawno: „Unser deutsches Dasein liegt im Staat" („Nasza niemiecka tożsamość leży w państwie"). Z pewnością wciąż są w AfD politycy, którzy mają rozsądne poglądy na temat polityki gospodarczej, ale jednocześnie jest w niej zbyt wielu zwolenników etatyzmu.

Partia AfD mówi o wyjściu ze strefy Schengen, a nawet ze strefy euro. Czy to realistyczne? W końcu niemiecka gospodarka – opierająca się przede wszystkim na eksporcie do innych krajów UE – tylko by na tym straciła, gdyby opuściła strefę euro.

Musimy rozróżnić różne kwestie. Po pierwsze, Unia Europejska. Niestety, w coraz większym stopniu przekształca się ona w biurokratycznego potwora i pilnie należy przywrócić jej podstawowe funkcje. Rozumiem ludzi, którzy chcą nawet opuścić UE, ponieważ Unia ta podąża coraz bardziej w złym kierunku. AfD opowiada się za czystą unią gospodarczą i celną. Ja opowiadałbym się za unią gospodarczą i celną oraz wspólnymi działaniami w zakresie obrony. Po drugie, strefa euro. Od początku jej istnienia podchodziłem do wspólnej waluty sceptycznie. Ale już ją mamy.

Strefa euro istnieje od 2002 r., obecnie obejmuje 21 krajów.

Właśnie. Rozpad unii walutowej byłby niezwykle trudny. Na pewno euro przyniosło Niemcom pewne korzyści – choć, niestety, teraz ta strefa coraz bardziej zmierza w kierunku wspólnego zadłużenia, co stwarza poważne zagrożenia.

Sukces partii AfD w Saksonii-Anhalt wydaje się zapowiadać podobne zwycięstwa w innych niemieckich krajach związkowych. Zapowiada on jednak również sukcesy partii prawicowych w całej Europie. Jak interpretuje Pan tę zmianę polityczną na naszym kontynencie?

To oczywiste, że lewica poniosła porażkę. Wyborcy coraz bardziej odwracają się od partii lewicowych i to pozytywne zjawisko. Niestety, nie zwracają się w stronę klasycznych liberałów i libertarian, którzy niemal we wszystkich krajach UE są bardzo słabi. Zamiast tego przechodzą na stronę prawicowych populistów. Trump jest jednym z przykładów.

„Niemcy mają dość okropnych przepisów imigracyjnych i nie będą tego tolerować" – tak Trump skomentował w mediach społecznościowych wygraną AfD w Saksonii-Anhalt.

Ale też nie można wszystkich partii prawicowych wrzucać do jednego worka, trzeba dokonać rozróżnienia. Na przykład są pewne rzeczy, które podobają mi się u Giorgii Meloni. Z kolei francuska prawica jest w dużej mierze socjalistyczna. Ważne jest również zrozumienie, że inne prawicowe partie w Europie odmawiają współpracy z AfD, ponieważ uważają ją za zbyt skrajnie prawicową. Niestety, FDP [Wolna Partia Demokratyczna, najbardziej liberalne ugrupowanie w Niemczech – przyp. red.], której jestem członkiem od 32 lat, również poniosła całkowitą porażkę. Przekazała ona AfD wiele ważnych kwestii, takich jak wolność słowa, walka z poprawnością polityczną oraz poparcie dla energii jądrowej. Tradycyjne partie burżuazyjne i chrześcijańsko-demokratyczne wykazały się nieśmiałością i słabością w kontaktach z lewicą. To zraziło wiele osób i właśnie dlatego zwracają się one ku partiom prawicowym. Bardzo dobrze to rozumiem.

Czy partie głównego nurtu wciąż mają szansę odwrócić tę tendencję?

Można tylko mieć nadzieję, że CDU i FDP w końcu się obudzą. FDP ma teraz dobrego przewodniczącego, Wolfganga Kubickiego. Musiałby jednak zbudować wokół siebie silny zespół i radykalnie zerwać z błędami, jakie FDP popełniła w ostatnich latach, czego jednak nie robi. W CDU jest też kilku dobrych ludzi. Czy zdołają przejąć inicjatywę? Na razie nie wygląda na to. Nie wierzę, że rozwiązanie nadejdzie ze strony partii politycznych. Niemcy to kraj pogrążony w mentalnym zamęcie. Polityka jest jedynie konsekwencją, a nie przyczyną. Potrzebujemy fundamentalnej zmiany sposobu myślenia w Niemczech – odejścia od etatyzmu na rzecz większej roli rynków i wolności.

Jak wzrost popularności AfD wpłynie na stosunki między Polską a Niemcami?

Ktoś taki jak Chrupalla jest antypolski. Podziwia on byłego polityka SPD Egona Bahra, jednego z twórców Ostpolitik [chodzi o politykę RFN wobec komunistycznych państw Europy Środkowej i Wschodniej przed upadkiem muru berlińskiego – przyp. red.]. Po wprowadzeniu stanu wojennego w Polsce w 1981 r. Bahr bronił działań generała Jaruzelskiego i twierdził, że zachowanie pokoju jest „nawet ważniejsze niż Polska". Zapytany, czy Związek Radziecki miałby prawo interweniować, gdyby Polska zakwestionowała swoje członkostwo w Układzie Warszawskim, odpowiedział: „Ależ oczywiście". W tym samym wywiadzie telewizyjnym, w którym Chrupalla stwierdził, że Putin nic mu nie zrobił, zasugerował, że Polska może stanowić zagrożenie dla Niemiec. Nie potrafię zrozumieć, jak polscy patrioci mogą współpracować z AfD. Powinni przyjrzeć się tej partii znacznie bliżej, zwłaszcza Tino Chrupalli, Tillschneiderowi i Höcke.

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Dr Rainer Zitelmann

Niemiecki historyk i przedsiębiorca. Od ponad 30 lat należy do partii liberalnej FDP. Autor wielu książek, m.in. „Kapitalizm to nie problem – to rozwiązanie", „W obronie kapitalizmu", „Wzlot Białego Orła. O tym, jak Polska wydobyła się z ubóstwa"

eprasa.pl 28709e6c16

NIEMCY

FOT. FOT. ANDRZEJ SZKOCKI

Meklemburgia-Pomorze Przednie sąsiaduje z naszym województwem zachodniopomorskim

Uważają, że ich land jest ostatnim bastionem „prawdziwych Niemiec"

Już za dwa tygodnie do urn pójdą mieszkańcy Berlina oraz Meklemburgii-Pomorza Przedniego, landu sąsiadującego bezpośrednio z województwem zachodniopomorskim. Czy tam również wygra AfD?

Grzegorz Racinowski

- Trudno ocenić, jakie nastroje panują w pasie przygranicznym po wyborach w Saksonii. Niemcy z natury są powściągliwi w komentowaniu bieżących spraw. Inaczej niż Polacy, raczej nie rozmawiają o polityce - mówi Jakub.

Mieszka w jednej z podszczecińskich gmin i od kilku lat pracuje w kraju zachodniego sąsiada. Zaczynał od pracy fizycznej w rafinerii, skąd trafił do rzeźni. Od dwóch lat jest natomiast zatrudniony w placówce oświatowej.

- Odkąd pracuję w tym miejscu, to może dwukrotnie byłem świadkiem rozmów o polityce. Nie jest to może temat wstydliwy, bardziej sprawa osobista, a w Niemczech raczej się o takich sprawach nie rozmawia. Nie roztrząsa się też wyników wyborów w takim stopniu, jak choćby w naszym kraju. Albo nie robią tego przynajmniej moje koleżanki z pracy: nauczycielki i opiekunki – przyznaje mieszkaniec województwa zachodniopomorskiego.

Mówią hasłami AfD

Zupełnie inaczej było w rzeźni, gdzie większość załogi stanowili mężczyźni. Tam o sytuacji politycznej mówiono bardziej otwarcie.

- Większość pracowników fizycznych wprost opowiadała się za AfD. Utyskiwali na zmieniające się Niemcy, powtarzając hasła dotyczące emigrantów i polityki socjalnej.

Przede wszystkim jednak narzekali na kwestie, które bezpośrednio uderzały w ich portfele, czyli wysokie ceny energii i paliw – opowiada nasz rozmówca.

AfD potrafiło zagospodarować część tych nastrojów. Jej politycy od lat akcentują bowiem, że wojna w Ukrainie nie jest sprawą Niemiec. Jednym z postulatów partii jest odbudowa relacji z Rosją i ponowne uruchomienie dostaw rosyjskiego gazu przez Nord Stream.

- Moim niemieckim kolegom nie podobało się zaangażowanie Unii Europejskiej i NATO w wojnę na Ukrainie. Mówili o tym dużo, ale hasłowo, bez jakiegokolwiek zaplecza merytorycznego i kontekstu geopolitycznego. Nie dostrzegali szerszego kontekstu, nie mówiąc już o analizie zagrożenia, które Rosja stanowi dla Europy - mówi Jakub.

Sam, jako pracownik z innego kraju, nie spotkał się z przejawami ksenofobii.

- Ani razu nie odczułem na własnej skórze jakiejkolwiek niechęci wynikającej z mojego pochodzenia. Na zakładzie wszyscy byliśmy kolegami, traktowali mnie jak swojego. Na przyjacielskiej stopie podchodzili zresztą do pracownika z Syrii. Był sumienny, punktualny, uczciwy. Można było wyczuć, że Niemcy podchodzili do niego z dystansem, nie spoufalali się, ale też nikt nie zachowywał się wobec niego w ostentacyjny sposób. Nieprzyjemna sytuacja spotkała go na ulicy. Pewnego dnia usłyszał od grupki Niemców, że ma „spi******ć" do swojego kraju. Wystraszył się i zastanawiał nad rezygnacją z pracy – przytacza nasz rozmówca.

Lewicowa aktywistka współpracuje z radnymi AfD

W podobnym tonie wypowiada się Marta Szuster. Jest mieszkanką Staffelde w Brandenburgii, landzie sąsiadującym od południa z Meklemburgią. Od dwunastu lat zasiada ponadto w radzie gminy Mescherin.

- U nas nie ma wprawdzie radnych z AfD, ale kilku zasiada w radzie gminy pobliskiego Gartz. Struktura administracyjna jest taka, że Mescherin podlega właśnie pod urząd w Gartz, wobec czego bierzemy udział we wspólnych projektach. I co ciekawe, choć AfD to zupełnie nie moja bajka, działamy wspólnie, ponad podziałami - akcentuje Marta Szuster, która jest znana w Szczecinie z aktywnego udziału, u boku m.in. Katarzyny Kotuli, w Strajku Kobiet.

Chociaż AfD ma już pierwszych radnych w najbardziej wysuniętych miejscach na wschodzie kraju, nasza rozmówczyni nie uważa, by wielka polityka wkroczyła już do samorządu najniższego szczebla.

- Radnym w Gartz jest np. starszy i przemiły pan. Żaden polityk z krwi i kości, lecz wieloletni i dotąd bezpartyjny samorządowiec, który przed dwoma laty otrzymał propozycję startu z listy AfD. Sympatyzuje z tą partią, więc wyraził zgodę i teraz „występuje" pod jej szyldem. Podczas naszych spotkań i działań nie ma polityki. Wszyscy, przynajmniej do tej pory, skupiamy się na wspólnych działaniach na rzecz mieszkańców - akcentuje Szuster.

Mimo że jest przedstawicielką sporej społeczności polskiej, nie odczuwa tego ze strony „kolegów z AfD".

- Jestem Polką, czyli dobrym obcokrajowcem. AfD lubi Polaków - akcentuje polsko-niemiecka społeczniczka, przechodząc do zagadnienia codziennych kontaktów międzyludzkich.

- Mam lewicowe poglądy, ale wielu moich niemieckich przyjaciół wspiera AfD. Zdarza nam się rozmawiać o polityce, ale raczej staramy się pomijać te kwestie. Nie zamierzam też odwracać się od świetnych ludzi, tylko dlatego, że mają inne poglądy niż moje. Liczę raczej, że kiedyś się nawrócą. Na razie jest „niegroźnie", ale nie można bagatelizować sytuacji. Trzeba pamiętać, że AfD jest partią bardzo prawicową i radykalną. Jej obecność w przestrzeni publicznej stanowi zagrożenie. Już raz mieliśmy w Europie taką sytuację i drugi raz jej nie chcemy – podsumowuje M. Szuster.

W kwietniu przegrali

Polacy, którzy zamieszkują lub pracują po niemieckiej stronie przygranicznego pasa, zwracają uwagę, że Brandenburgia jawi się jednak jako nieco bardziej liberalna od „sąsiadki z północy".

- Znajduje się bliżej Berlina i jej społeczność różni się od tej w Meklemburgii. W Brandenburgii jest bardziej multikulturowo, podczas gdy w Meklemburgii czas jakby zatrzymał się w miejscu - mówi Konrad, piłkarz z Polski, który grał w klubach działających na terenie obu landów.

W meklemburskiej drużynie obcokrajowcami byli głównie jego rodacy. Z kolei w zespołach rywalizujących w Brandenburgii przekrój jest ogólnoświatowy.

- Od Turków, po zawodników z Afryki, a nawet Brazylijczyków. Brandenburgia jest sypialnią Berlina i nikogo nie dziwią ludzie z całego świata. Z drugiej strony pamiętam jak całkiem niedawno, w jednej z meklemburskich miejscowości zamieszkał pierwszy czarnoskóry. Był lokalną sensacją. Meklemburgia to taki prawdziwy DDR. W miasteczkach, w których pracowałem, nie było praktycznie młodych ludzi. Wszyscy wyjeżdżali po szkole do Berlina, albo przynajmniej Rostocku, Schwerina czy na studia do Greifswaldu. Społeczeństwo było zaawansowane wiekowo. Gdy rozmawiałem ze starszymi kibicami, albo z kolegami z pracy, to niektórzy potrafili jeszcze mówić po rosyjsku. Tłumaczyli, że był to przedmiot obowiązkowy w szkole – opowiada.

Choć nie chce wypowiadać kategorycznych sądów, w jego opinii wielu z nich bliskie są poglądy wyrażane przez polityków AfD.

- Mieszkańcy Meklemburgii, których znam, uważają, że ich land pozostaje ostatnim bastionem „prawdziwych Niemiec" - przekazał nam jeden z rozmówców.

Czy meklemburska społeczność pójdzie śladem Saksonii-Anhalt, dowiemy się za niespełna dwa tygodnie. Oceniając polityczne szanse AfD, warto mieć w pamięci, że w kwietniu br. partia zanotowała słabe wyniki w wyborach na burmistrzów w Anklam, Schwerinie, Ueckermünde i Wismarze. Tymczasem, jeszcze w lutym br., badanie instytutu Forsa dla „Ostsee-Zeitung" dawało AfD ok. 40% poparcia w tych czterech miasteczkach wchodzących w skład Meklemburgii-Pomorza Przedniego.

eprasa.pl 28709e6c16

POLITYKA

Prof. Płóciennik: AfD chce podważyć obecny system polityczny Niemiec

– Porzucenie kursu reform proponowanych przez rząd Friedricha Merza byłoby katastrofą i prowadziłoby w prostej linii do przedterminowych wyborów – mówi prof. Sebastian Płóciennik, dyrektor w Fundacji Współpracy Polsko-Niemieckiej

Agaton Koziński

Wygrana AfD w Saksonii-Anhalt poruszyła całą Europę, choć przecież wcześniejsze sondaże ją prognozowały. Skąd więc tak duże zaskoczenie?

Sondaże jasno wskazywały, że AfD uzyska ponad 40 procent. O szoku można by mówić wtedy, gdyby w sondażach wychodziło poparcie na poziomie 30-35 proc., a partia zdobyłaby znacznie więcej. Tak się jednak nie stało. Oddzielna sprawa, że w dyskusjach o wynikach w Saksonii-Anhalt umyka realne znaczenie wyborów landowych w Niemczech. Jest dużo szumu politycznego, ale na szczeblu federalnym na razie nic się nie zmienia. Mówimy też o stosunkowo małym landzie, w którym mieszka około dwóch milionów osób i który ma dość specyficzne problemy. Z tych powodów zachowałbym ostrożność wobec argumentów o „wielkim przełomie" w Niemczech.

W tych wyborach chodziło bardziej o to, że wyborcze potwierdzenie znalazły sondaże o szybko rosnącym poparciu dla AfD.

Na poziomie federalnym AfD ma w sondażach około 28 procent.

I od kwietnia prowadzi w ogólnoniemieckich sondażach. Drugie CDU/CSU ma 21 procent.

Wzrost poparcia dla AfD widać od dłuższego czasu – zarówno na poziomie federalnym, jak i w wielu landach, także w „starej" RFN. Zastanawiam się, czy w przyszłym roku ta fala nie zacznie opadać. AfD jest partią, która karmi się kryzysami i lękami społecznymi. Tymczasem w kwestii migracji, która przysparzała głosów skrajnej prawicy, ciśnienie spada, bo rząd wprowadził szereg działań porządkujących sytuację. Słabo je jednak komunikuje, nie chcąc zapewne podbijać nastrojów ksenofobicznych. Druga kwestia wydaje mi się ważniejsza – gospodarka. Blisko trzydziestoprocentowe poparcie dla AfD trzeba widzieć w kontekście siedmiu lat stagnacji, wzrostu kosztów energii i utraty ponad ćwierć miliona miejsc pracy w branżach przemysłowych. Możliwe, że ten trudny okres właśnie się kończy. W tym roku gospodarka ma urosnąć o 1 procent, w kolejnym nawet 1,4 proc. To głównie efekt wydatków rządowych, ale też – powoli – wprowadzanych reform.

FOT. EAST NEWS

Płóciennik: Błędem była polityka kordonu sanitarnego. Pozwalała ona AfD brutalnie krytykować rząd (na zdjęciu: liderka AfD Alice Weidel i kanclerz Friedrich Merz)

Tuż przed wyborami ogłoszono szokujący dla wielu Niemców plan likwidacji kolejnych 50 tysięcy miejsc pracy w Volkswagenie – firmie, której obroty roczne odpowiadają około 7 proc. PKB. To coś więcej niż zwykłe zwolnienia – to również symbol kondycji współczesnych Niemiec.

Wiodące firmy niemieckiej gospodarki mają ogromne problemy, i to jeszcze wzmacnia poczucie niepewności u Niemców. Dzieje się tak przede wszystkim z powodu presji konkurencyjnej ze strony Chin, ale także protekcjonizmu Donalda Trumpa. Akurat o tym mniej mówiło się bezpośrednio podczas kampanii, ale w szerszym tle jest to bardzo ważny czynnik. Moim zdaniem firmy ostatecznie sobie poradzą, tnąc zatrudnienie i koszty, częściowo przenosząc produkcję do innych krajów. Dla pracowników oznacza to jednak spadek płac, dla części też bezrobocie. Lęki przed taką przyszłością widać w sondażach i przy urnach wyborczych.

Alice Weidel, współliderka AfD, już zapowiedziała, że CDU/CSU nigdy nie wygra wyborów w Niemczech, a w kolejnych wyborach AfD zdobędzie 40 proc. głosów. Jakie karty ma jeszcze w ręku Friedrich Merz, czy szerzej niemiecki establishment, żeby uniknąć takiego scenariusza?

Kluczowy moim zdaniem jest powrót wzrostu gospodarczego oraz pokazanie, że rząd jest zdolny do reform systemu. Druga sprawa – pozytywna i własna wizja przyszłości. Błędem głównego nurtu byłoby wybieranie niektórych elementów z programu AfD i wdrażanie ich na własnych warunkach. To ślepa uliczka, bo jedynie uwiarygadnia pomysły radykałów z prawicy. Dlatego zarówno chadecja, jak i socjaldemokraci powinni konsekwentniej przedstawiać mocne strony własnego programu, a także reprezentować swoje idee w sposób mniej koniunkturalny.

Dziś AfD zdaje się rozdawać karty. W jaki sposób CDU/CSU i SPD powinny na to reagować?

Wiele dziś mówi się o tym, że błędem była polityka kordonu sanitarnego. Pozwalała ona AfD brutalnie krytykować rząd, przedstawiać nierealistyczne pomysły i skrajne idee – bez ponoszenia za to odpowiedzialności i ryzyka konfrontacji w prawdziwej debacie publicznej. Co więcej, AfD mogła stroić się w piórka sekowanej przez mainstream ofiary. Z drugiej strony „zapora ogniowa" zmuszała pozostałe partie do tworzenia na poziomie landów egzotycznych koalicji, takich jak CDU i Die Linke, tylko po to, żeby nie dopuścić AfD do władzy. Tracąc możliwość realizacji własnych programów, traciły jednocześnie wiarygodność i poparcie wyborców. Wybory w Saksonii-Anhalt mogą być w tym sensie cezurą, bo wkraczamy w okres, gdy AfD zacznie być rozliczana ze swoich pomysłów. Przeglądałem program AfD w Saksonii-Anhalt i jest tam bardzo wiele obietnic: wsparcie finansowe, cięcia podatków, subwencje, przy jednoczesnym założeniu, że partia nie będzie zaciągać nowych długów. W tych planach zieje dziura na 2,2 mld euro, równa jednej czwartej dochodów podatkowych landu. Pytanie, w jaki sposób AfD chce to wszystko zrealizować: cięcia wydatków na domy dla azylantów i klasy integracyjne nie wystarczą. Przychodzi więc czas konfrontacji z rzeczywistością, która będzie trudniejszym przeciwnikiem niż partie głównego nurtu.

W Bundestagu czekają na zatwierdzenie bardzo niepopularne reformy złożone przez rząd: zmiany w systemie emerytalnym i w służbie zdrowia. Czy w takiej sytuacji one mają szansę przejść?

Nie ma alternatywy. Jeżeli niemiecka gospodarka ma trwale się odbić i powrócić do wzrostu, potrzebne są zmiany. Te reformy są szansą na pewną stabilność, umiarkowany – ale jednak – wzrost i ochronę dobrobytu. Pod znakiem zapytania pozostaje oczywiście to, czy uda się przeprowadzić reformy w planowanej formie. SPD już zaczyna sygnalizować, że chciałaby wprowadzić zmiany w niektórych punktach. Natomiast dla obu partii porzucenie kursu reform byłoby katastrofą i prowadziłoby w prostej linii do przedterminowych wyborów oraz scenariusza, o którym marzy Alice Weidel.

W Niemczech od 2005 roku – z przerwami – rządzi wielka koalicja tworzona przez CDU/CSU i SPD. Wzrost AfD to także jedna z przyczyn tego zaniku rywalizacji między głównymi partiami. A czy możliwa jest zmiana sojuszy, na przykład koalicja CDU/CSU z AfD?

Porozumień wokół konkretnych i neutralnych kwestii, np. podatków, w rozdrobnionych parlamentach landów nie można wykluczyć. Sojusze politycznie? Nie widzę szans. AfD jest uznawana za partię radykalną, antysystemową, która nie tyle chce zmienić politykę, ile podważyć system polityczny i aksjologiczny Republiki Federalnej Niemiec zbudowany po II wojnie światowej. Zwłaszcza na poziomie federalnym bardzo trudno wyobrazić sobie jakiekolwiek próby współpracy. Nie wyklucza to jednakże korekty podejścia do AfD ze strony partii głównego nurtu. Chodziłoby o wchodzenie w ostre debaty wokół pomysłów formułowanych przez AfD i zmuszanie tej partii do jasnego deklarowania stanowiska. Niech np. wyjaśni, co w praktyce oznacza wymienione w programie pojęcie „kulturowo obca siła robocza" dla działania szpitali w Saksonii-Anhalt, w których nawet jedna trzecia lekarzy to obcokrajowcy. Drugim elementem powinna być znacznie bardziej aktywna niż obecnie rozmowa z wyborcami AfD. Wielu z nich narzeka na ignorowanie ich obaw, poczucie odrzucenia, brak wpływu na bieg spraw. Natomiast podstawową zasadą tej polityki pozostanie trzymanie się z dala od jakichkolwiek planów koalicyjnych z AfD.

FOT. FWPN

CV

Prof. Sebastian Płóciennik
Ekonomista, znawca polityki niemieckiej. Dyrektor w Fundacji Współpracy Polsko-Niemieckiej (FWPN). Do 2024 roku związany z Ośrodkiem Studiów Wschodnich.

eprasa.pl 28709e6c16

TRADYCJA I POLITYKA

Plon, niesiemy plon, ale najważniejszy jest tu on. Jak politycy żywią się dożynkami

Prezydent Ignacy Mościcki zaczął budować swój wizerunek na wymyślonych przez siebie dożynkach prezydenckich w Spale w 1927 roku, krótko po zamachu majowym. Edward Gierek swoje ostatnie wielkie dożynki w chylącym się ku upadkowi PRL celebrował w Piotrkowie Trybunalskim, obdarzając miasto i okolice licznymi łaskami. Dożynki prezydenckie w Spale reaktywował we wrześniu 2000 roku, tuż przed wyborami prezydenckimi, wicepremier Roman Jagieliński, co zapewne pomogło wygrać Aleksandrowi Kwaśniewskiemu prezydenturę na drugą kadencję. Trudno nie dostrzec, że centralne Święto Plonów miało i ma polityczny podtekst, niezależnie od siły tradycji dożynek i od barw politycznych pierwszego gospodarza.

Anna Gronczewska

Niektórzy pewnie wspominają dawne czasy i dożynki w Piotrkowie Trybunalskim w województwie łódzkim. To właśnie tam odbyły się ostatnie dożynki w epoce Edwarda Gierka. Miały miejsce 9 września 1979 roku. Władze Piotrkowa odebrały to jako wielki zaszczyt. Przygotowania do dożynek trwały wiele tygodni. Do miasta przyjechało ponad trzy tysiące junaków z Ochotniczych Hufców Pracy. Zajęli się porządkowaniem Piotrkowa Trybunalskiego. Pomagali przy trwających budowach. Urzędnicy, nauczyciele, a nawet piotrkowscy notable wzięli udział w różnych pracach społecznych.

Korzyści dla Piotrkowa też nie zabrakło. Miasto wzbogaciło się o dwupasmową drogę, obecną ul. Armii Krajowej. Odrestaurowano także wieżę ciśnień, mury klasztoru dominikanek i halę targową. Zbudowano kładkę nad torami przy ul. Słowackiego, a wielkiej modernizacji doczekał się piotrkowski stadion miejski, który już nie istnieje.

Przed dożynkami oddano do użytku osiedle XXXV-lecia PRL. Jednocześnie rozbierano stare domy. Mieszkańcy wspominają, że jeden z nich, przeznaczony do rozbiórki, zniknął pewnego wieczoru. Rano w tym miejscu ułożono trawnik... Odnawiano też elewacje piotrkowskich budynków. A samą uroczystość relacjonowało 250 reporterów radiowych, telewizyjnych i prasowych.

Same dożynki odbyły się z wielką pompą. Niesiono dożynkowy wieniec wysoki na dwa piętra, z herbami 49 województw. Starostami tych ostatnich dożynek epoki Gierka byli Barbara Rytych ze wsi Proszenie w gminie Wolbórz i Stanisław Szmalec z Woli Rokszyckiej, gmina Wola Krzysztoporska.

FOT. KADR Z MATERIAŁU TVP

Edward Gierek podczas swoich ostatnich dożynek w Piotrkowie Trybunalskim w 1979 roku

Starosta z PZPR, starościna z ZSL

Zmarła przed sześciu laty Barbara Rytych w 1979 roku razem z mężem prowadziła 18-hektarowe gospodarstwo, miała stado wylęgowe kur. Teraz jej gospodarstwo w Proszeniach prowadzi córka z zięciem. Mają, razem z dzierżawą, ponad 100 hektarów ziemi, oborę mleczną, 150 tuczników.

Na starostę wybrano Stanisława Szmalca z Woli Rokszyckiej, w gminie Wola Krzysztoporska. Pan Stanisław od lat nie żyje. Zmarł w 1994 roku.

– Wiejskie społeczeństwo ma Gierkowi wiele do zawdzięczenia – mówiła nam Barbara Rytych. – Państwo się wtedy zadłużało, ale rolnikom za Gierka żyło się dobrze. Może nie było co za pieniądze kupić, ale łatwiej było je zdobyć. A to dzięki Gierkowi rolnicy mają emerytury, które do dziś są prawdziwym zbawieniem dla wsi, bezpłatną opiekę lekarską.

Kiedy przed 47 laty wybierano starostów dożynek, zasady były proste. Starosta miał być z PZPR, a starościna ze Zjednoczonego Stronnictwa Ludowego.

– Wygrałam wtedy w dużej konkurencji – wspominała Barbara Rytych. – Było 16 kandydatek, bo każda gmina chciała mieć swoją starościnę.

Opowiadała, że rywalkę miała nawet w swojej gminie. Kobieta zapisała się specjalnie do PZPR-u, by zostać starościną. Kiedy jej się nie udało, rzuciła ze złości legitymację partyjną.

Barbara Rytych starościną nie została przypadkowo. Nie była człowiekiem znikąd. Znano ją jako wiceprezesa w Komitecie Wojewódzkim ZSL, była szefową Koła Gospodyń Wiejskich.

Starosta Stanisław Szmalec w 1979 roku prowadził w Woli Rokszyckiej duże gospodarstwo, najnowocześniejsze w okolicy. Hodował świnie – od loch po prosiaki, warchlaki i tuczniki. Długo szukano odpowiedniego kandydata na starostę. Musiał być bowiem dobrym gospodarzem, niekaranym. Szmalec spełniał te wszystkie kryteria, no i jeszcze należał do PZPR, był radnym. O tym, że został starostą, dowiedział się w sierpniu. Nie pasowało mu to za bardzo, bo był akurat po operacji woreczka żółciowego. Jednak nie wypadało odmówić. Na dodatek Edward Gierek miał odwiedzić jego gospodarstwo...

Barbara Rytych o tym, że jest przymierzana na starościnę, usłyszała w kwietniu. W sierpniu podano tę informację oficjalnie. Ucieszyła się. Była to przecież nobilitacja. Zaraz jej twarz pojawiła się na plakatach, dom zaczęli odwiedzać dziennikarze. Życie toczyło się jeszcze szybciej niż dotychczas.

Kazali kosić mokre zboże

Żniwa w 1979 roku były bardzo ciężkie. Przez całe lato strasznie padało. Zbiór zboża kończono we wrześniu. Rolnicy wspominają, że wszystkich bardzo gonili, by zbierali zboże. Najbardziej tych, którzy mieli pola przy trasie Warszawa – Katowice.

– Zboże było mokre, a już kosić kazali – wspomina jeden z rolników w gminie Wolbórz. – Mokro tak było, że maszyny na pole wjechać nie mogły.

Barbara Rytych opowiadała, że gdy z kółka rolniczego wypożyczano maszyny, to w pierwszej kolejności tym, którzy mieli pola przy „gierkówce". Całe województwo przygotowywało się do wizyty pierwszego sekretarza Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej. Gminni sekretarze partii jeździli po okolicy i wypatrywali, czy gdzieś nie ma jeszcze słomianych strzech. Gdy taką zauważyli, gospodarza czekała poważna rozmowa. Musiał szybko zmieniać dach. Dostawali nawet od ręki przydział eternitu, który był wtedy towarem deficytowym. Gdy zaś blisko „gierkówki" stała niereprezentacyjna chałupa, to ustawiano przed nią zasłonę z eternitu. Tak, by towarzysz Gierek nie zauważył walącego się domu...

Gierek na obiedzie u Szmalców

Tydzień przed i tydzień po dożynkach Rytychowie oraz Szmalcowie musieli przyjąć pod swój dach niecodziennych gości. Mieszkali u nich panowie ze Służby Bezpieczeństwa. Mieli pilnować starostów i ich gospodarstw. U Szmalców kontrola była szczególna, bo to ich gospodarstwo miał odwiedzić towarzysz Gierek.

Przed samymi dożynkami po wsi kręciły się radiowozy milicyjne. Kto wieczorem przejeżdżał na rowerze koło domu Rytychów, to go zatrzymywali i legitymowali.

Do Szmalców Gierek przyjechał w czwartek, przed dożynkami. Wydano wystawny obiad. Gierkowi towarzyszyła żona Stanisława. Barbara Rytych wspominała, że przyjechała prosto z lotniska, bo właśnie przyleciała z zagranicy. Gierka zapamiętała jako otwartego, życzliwego człowieka.

– Był to taki tata – dodawała. – Stachna też była miła.

Gierek pytał ją o dzieci, dziwił się, że wszystkie chcą zostać na wsi.

eprasa.pl 28709e6c16

FOT. NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE

Prezydent Ignacy Mościcki na dożynkach w Spale

FOT. KANCELARIA PREZYDENTA RP

Prezydent Lech Kaczyński kontynuował tradycję poprzedników

Obiad przygotował kucharz z motelu w Polichnie. Jednak Gierek jadł tylko biały ser i chleb ze smalcem.

– No i pił wódkę z miodem, którą sama przyrządziłam – opowiadała nam przed laty Halina Szmalec, żona zmarłego starosty.

Mówiła też, że jeden z kolegów chciał, by Szmalec przekazał Gierkowi list. Pisał w nim, że pierwszy sekretarz jest oszukiwany, że nie mówi się mu prawdy.

– Ale nie pozwolono mężowi listu przekazać – przypominała Halina Szmalec.

Plotki o starostach

Przed i po dożynkach po okolicy zaczęły krążyć różne plotki o starostach. Opowiadano, że do ich obór wstawiono najlepsze krowy w okolicy.

– My wcale krów nie hodowaliśmy, same świnie mieliśmy – śmiała się z tego Halina Szmalec.

Opowiadano, że u Rytychów też był Gierek, że kwiaty przywiózł, zostawił auto i dom wybudował.

– Potem to nawet mówili, że widzieli go, jak do mnie na imieniny przyjeżdża – śmiała się Barbara Rytych.

W Woli Rokszyckiej na pamiątkę dożynek pozostał kawałek asfaltowej drogi, która wiedzie z „gierkówki" do wsi...

Po dożynkach Barbara Rytych została posłanką. Z ramienia ZSL. Była nią od 1980 do 1986 roku, bo trafiła na przedłużoną kadencję.

Zaczęło się od Mościckiego

Siła tradycji i popularność dożynek nie mogły umknąć oku polityków i to nie Edward Gierek pierwszy to zauważył.

W 1922 roku podjęto decyzję, że Spała stanie się letnią rezydencją prezydentów RP. Od czasów prezydentury Ignacego Mościckiego zasłynęła też z ogólnopolskich dożynek prezydenckich.

Spalską rezydencję nazywano drugim Belwederem. Prezydent Mościcki bardzo lubił tu przyjeżdżać. Między innymi dlatego, że był zapalonym myśliwym. Polował zwykle w dwunastoosobowej grupie. W jej skład wchodzili adiutanci, szefowie i zastępcy szefa Gabinetu Wojskowego i Gabinetu Cywilnego, zarządca Spały, ksiądz Kowalski z Inowłodza oraz łowczy.

To prezydent Ignacy Mościcki wymyślił, by w Spale zorganizować prezydenckie dożynki. Było to w 1927 roku. Podobno do tej niewielkiej miejscowości zjechało wtedy ponad 10 tysięcy ludzi. 700 reprezentantów środowisk chłopskich, siedmiu ministrów i innych gości zaproszono na uroczysty obiad. Mimo że spalskie dożynki spotkały się z krytyką niektórych środowisk, bo stanowiły między innymi konkurencję dla jasnogórskich dożynek, dalej je organizowano. W kolejnych latach przybywało na nie nawet 40 tysięcy ludzi!

Dla potrzeb dożynek w Spale zbudowano stadion oraz halę mającą 4 tysiące metrów kwadratowych powierzchni. Miała chronić dożynkowych gości przed deszczem.

Dzięki prezydentowi Mościckiemu w 1935 roku w Spale odbył się jubileuszowy Zlot Harcerstwa Polskiego Jamboree z okazji 25-lecia ZHP. Wzięło w nim udział 25 tysięcy harcerzy, w tym skauci z zagranicy. Przygotowania do organizacji tego jubileuszowego zlotu trwały kilka tygodni. Zbudowano specjalne miasteczko. Miało ono swój własny hotel, pocztę, służbę porządkową.

Do Spały przyjeżdżano na manewry i spotkania sportowe przysposobienia wojskowego Okręgu Korpusu w Łodzi. Odbywały się tu wakacyjne obozy i kursy Związku Strzeleckiego. Nad brzegiem Pilicy organizowano „Sobótki dla młodzieży". W przedwojennej Spale odbywały się zloty gwiaździste samochodów i motocykli. Organizowano je też dzięki prezydentowi Mościckiemu, który sam był wielkim fanem motoryzacji. Lubił sam prowadzić auto w drodze z Warszawy do Spały.

Jak dożynki pomogły wygrać wybory prezydenckie

Kres prezydenckim dożynkom w Spale położyła wojna. Wydawało się, że przejdą do historii, ale tu znów wkroczyła polityka. Prezydenckie dożynki okazały się tak nośne, że kontynuowali je prezydenci z różnych opcji.

Palma pierwszeństwa należy do ówczesnego posła PSL i wicepremiera Romana Jagielińskiego, który w 2000 roku wylansował pomysł reaktywacji dożynek prezydenckich (za sprawą jednego ze swoich doradców). Aleksander Kwaśniewski, który był wówczas prezydentem, był zachwycony.

Pomysł był genialny. Aleksander Kwaśniewski kończył wówczas swoją kadencję. Na 8 października 2000 roku wyznaczono termin wyborów prezydenckich, reaktywowane dożynki prezydenckie odbyły się niemal w przeddzień wyborów - 14 września. Nawiązanie do przedwojennej tradycji dawało mocną legitymację prezydentowi zmagającemu się z swoim komunistycznym rodowodem. Kto wie, czy na zwycięstwie Aleksandra Kwaśniewskiego już w pierwszej turze (53,90% głosów) nie zaważyły dożynki w Spale.

Faktem jest, że po 25 latach Aleksander Kwaśniewski nie zapomniał o tamtych dożynkach i w ubiegłym roku posadził w Spale Dąb Wolności, symbolizujący spalskie tradycje dożynkowe.

Między 2006 a 2008 rokiem dożynki w Spale miały tylko wymiar regionalny. Charakter prezydenckich przywrócił im w 2009 roku Lech Kaczyński. Potem gospodarzem prezydenckich dożynek był Bronisław Komorowski, a następnie prezydent Andrzej Duda. Ta historia zakończyła się w 2020 roku, kiedy ze względu na pandemię centralne dożynki przeniesiono do Pałacu Prezydenckiego.

Aleksander Kwaśniewski apelował w ubiegłym roku o przywrócenie dożynek prezydenckich w Spale. Bez skutku. Karol Nawrocki, owszem, weźmie w najbliższy weekend udział dożynkach prezydenckich, ale odbędą się one w Tryńczy na Podkarpaciu.

Co w takim razie w Spale? Dożynki do Spały powróciły w ubiegłym roku, ale już jako Dożynki Polskie. Odbędą się i w tym roku, w niedzielę, 13 września. Ich gospodarzem został Stefan Krajewski, minister rolnictwa i wsi. Honorowym patronatem objął je Bogdan Kącki, burmistrz Inowłodza.

Spalskie dożynki rozpoczną się o godzinie 10.30. Nie zabraknie parady wieńców dożynkowych. W części artystycznej wystąpią m.in. Skolim i Zenek Martyniuk z zespołem Akcent.

To jednak wcale nie oznacza, że historia dożynek prezydenckich w Spale zakończyła się w 2019 roku.

Współpraca: Sławomir Sowa

FOT. ARCHIWUM DZIENNIKA ŁÓDZKIEGO

Aleksander Kwaśniewski reaktywował dożynki prezydenckie w Spale. Na zdjęciu z Pierwszą Damą

eprasa.pl 28709e6c16

RELIGIA

Nie podszedł do matury, bo zapowiadano koniec świata. Były świadek Jehowy mówi o ostracyzmie

„Odwróciła się ode mnie cała rodzina: rodzice, wuj, siostra — właściwie wszyscy. Nikt ze mną nie rozmawia". O ostracyzmie wśród świadków Jehowy rozmawiamy z byłym wyznawcą, którego wyrzucono ze wspólnoty.

Marta Jarmuszczak

Paweł Świergiel, czyli były świadek Jehowy. A były, ponieważ został Pan wykluczony za podważanie doktryny około 2 lat temu. Przez większość życia należał Pan jednak do świadków.

My, jako byli świadkowie, mówimy o sobie, że się wybudziliśmy. Ja się urodziłem w tej religii, więc wyssałem to z mlekiem matki. Dla mnie nie istniał inny świat, a człowiek nie tęskni za czymś, czego nie zna i nawet nie wie, że istnieje. Nie wiedziałem o istnieniu innego świata. Zostałem wychowany tak, że to jest ta jedyna prawdziwa religia, a ja jestem tym wybranym, który przeżyje Armagedon. Jak byłem mały, wierzyliśmy, że ludzie, którzy pamiętają rok 1914, czyli początek pierwszej wojny światowej, nie mogą umrzeć, zanim nastąpi koniec świata. Więc jako dziecko żyłem w przeświadczeniu, że to odbędzie się lada dzień i całe moje nastoletnie życie zostało ukierunkowane w tym wierzeniu, że świat się zakończy lada moment.

Wpłynęło to na edukację?

Mimo że miałem jakieś tam zdolności, przez całą podstawówkę np. zdobywałem świadectwa z czerwonym paskiem, dostałem się do elitarnej szkoły średniej w Poznaniu, to i tak byłem jedyną osobą w całej klasie, która nie podeszła do matury. Zdałem ją, ale dopiero w wieku 33 lat.

Czyli nie podszedł Pan do matury, bo żył w przeświadczeniu, że zaraz będzie koniec świata?

Rok 1998, w którym kończyłem szkołę, to już miały być ostatnie dni tego świata. Ja głosiłem kolegom, że oni nie skończą studiów, bo do 2000 roku nic już nie będzie.

Ale koniec świata nie nadszedł...

Świadkowie Jehowy mocno nauczali, że ludzie pamiętający rok 1914 nigdy nie umrą i to była nauka promowana długo, do 1995 roku. Potem ci ludzie zaczęli jednak umierać, więc zmieniono doktrynę, na mówiącą o nakładających się pokoleniach, czyli jeżeli ktoś żył z kimś, kto pamięta rok 1914, to jest to jedno pokolenie.

FOT. WALDEMAR WYLEGAŁSKI

Paweł Świergiel, choć urodził się w rodzinie świadków Jehowy, został usunięty ze wspólnoty za podważanie doktryny. Jak twierdzi, po tej decyzji spotyka się z ostracyzmem

Czyli to pokolenie cały czas trwa.

Tak, ale wyliczyłem, że około 2040 roku nie będą mogli tego przedłużać.

I to było powodem, dla którego zaczął Pan wątpić w słuszność tych przekonań?

Tak, a potem wyszły kwestie zmienionych tłumaczeń Biblii wydanej przez świadków Jehowy, i te dwie rzeczy tak właściwie spowodowały, że zacząłem się budzić i zacząłem rozmawiać z najbliższymi o tym.

Czyli pojawiły się pytania. I co dalej?

Zadawałem pytania wujowi, który ze mną mieszkał i który wydawał mi się takim guru – kimś, kto naprawdę dużo wie. Niestety, nie uzyskiwałem odpowiedzi. Co więcej, zauważyłem, że kiedy zadawałem pytania, na które on nie potrafił odpowiedzieć, zamiast próby powiedzenia: „Nie wiem", pojawiała się agresja. Padały pytania: „Jak ty możesz zadawać takie pytania? Jak możesz mówić takie dziwne rzeczy?". A ja odpowiadałem: „No ale przecież to jest jasne". Z natury mam bardzo logiczny umysł. Jeśli coś jest napisane, to potrafię to po prostu wyłapać – takie podstawowe czytanie ze zrozumieniem. I ponieważ próbowałem zadawać pytania, a kiedy coś mi się nie zgadzało, mówiłem: „Tutaj coś się nie zgadza", spotykała się z tym agresywna reakcja. W końcu zostałem zgłoszony starszym zboru jako ktoś, kto ma odstępcze poglądy. To było w 2022 roku. Wtedy wciąż byłem wierzącym świadkiem Jehowy.

I zakończyło się to sądem?

Tak, zostałem zaproszony na komitet sądowniczy. Chodziło o ustalenie, czy przypadkiem nie jestem już odstępcą. Na tym pierwszym komitecie sądowniczym było trzech sędziów przeciwko jednemu świadkowi. Nie miałem żadnego adwokata ani nikogo, kto by mnie reprezentował. Po prostu przyszedłem. Byli tam ludzie, którzy występowali przeciwko mnie i mówili, co słyszeli albo co rzekomo ode mnie usłyszeli. Byli tam mój wuj, mój przyjaciel i mój szwagier. Po prostu przedstawiali to, co według nich słyszeli. Z tego pierwszego komitetu udało mi się wybronić. Nie zostałem wykluczony. Zostałem natomiast publicznie napomniany.

A to wszystko odbywa się publicznie?

Później jest publiczne ogłoszenie. Tylko że najgorsze jest to, że ludzie nie wiedzą, za co zostałem napomniany. Dlatego cały ten komitet sobie nagrałem, bo nie wiedziałem, jaki będzie odzew. Ludzie mogą przecież różnie to odebrać. Mogli pomyśleć na przykład, że nie chodziło o kwestie wiary, tylko o coś zupełnie innego, że na przykład zdradziłem żonę.

Czyli zakończyło się pozytywnie.

No i tak minęły dwa lata. Przestałem chodzić na zebrania świadków Jehowy i chciałem po prostu tak sobie wygasnąć. Wiedziałem, że jeśli mnie wykluczą, stracę wszystkich moich przyjaciół, znajomych, a także rodzinę.

Ale w końcu sądzono Pana drugi raz?

Niestety, po dwóch latach moja rodzina, która mieszka ze mną po sąsiedzku przez ścianę, nie mogła zdzierżyć tego, że mam inne poglądy i po raz drugi na mnie doniosła. Kiedy miałem drugi komitet, już nie udało mi się wybronić – mimo odwołania. No, chyba można powiedzieć, że była to już recydywa. Nie wiem, jak inaczej to nazwać. Wtedy podejście było już takie: „Trzeba go wykluczyć, nie możemy mu tym razem popuścić". Mimo wszystko dzielnie się broniłem. Ten drugi komitet również nagrałem. Cały proces jest zresztą dostępny w internecie, bo chciałem po prostu pokazać, jak wygląda takie sądzenie przez świadków Jehowy. No i usunięto mnie w 2024 roku. Wtedy zaczęło się to, z czym teraz walczę, czyli ostracyzm.

Na czym on polega?

Właściwie wszyscy znajomi, których miałem – a miałem wśród świadków Jehowy bardzo dużo znajomych, bo zachęca się do tego, żeby przyjaźnić się przede wszystkim ze swoimi współbraćmi – niestety odwrócili się ode mnie. Najgorszym typem człowieka u świadków Jehowy jest właśnie odstępca, czyli ktoś, kto myśli inaczej. Najgorsze jednak było to, że odwróciła się ode mnie cała rodzina: rodzice, wuj, siostra – właściwie wszyscy. Nikt ze mną nie rozmawia.

Wspomniał Pan, że mieszka blisko mamy. Faktycznie nie rozmawiacie wcale?

Mama mieszka w tym samym budynku, ale rozmowy ograniczają się do kwestii płatności rachunków i tego typu spraw. Do tego stopnia kontakt jest ograniczony, że moja mama nie widziała swojego kilkumiesięcznego wnuka, czyli mojego syna.

A czy byłoby inaczej, gdyby sam Pan odszedł?

Nie. Sytuacja wyglądałaby inaczej, gdybym zrobił coś innego. To jest dosyć dziwne, bo oni mają takie podejście, że mniej szkodliwy jest człowiek, który na przykład przespałby się z dziesięcioma kobietami i za to został wykluczony. Wtedy jest postrzegany jako ktoś, kto ma po prostu swoje słabości. Natomiast ja jestem człowiekiem, który odważył się powiedzieć coś przeciwko ich wierzeniom, skrytykować nauki świadków Jehowy. I wtedy przyklejono mi łatkę tak zwanego odstępcy. A to jest najgorszy typ człowieka wśród świadków Jehowy. O odstępcach myśli się z przerażeniem. A ja dodatkowo, ponieważ działam na YouTubie, jestem tak zwanym aktywnym odstępcą. Czyli właściwie nie ma gorszego człowieka niż ja, bo występuję czynnie przeciwko ich ukochanej organizacji.

Ale to jest wybór rodziny, żeby z Panem nie rozmawiać?

Świadkowie Jehowy nie mogą zadawać się z tymi, którzy zostali wykluczeni. Bardzo dużo rzeczy jest mówionych w wykładach i są też tak zwane wewnętrzne przykazy, o których nawet nie wszyscy świadkowie Jehowy wiedzą. Na przykład taką pozycją jest książka tylko dla starszych zboru pod tytułem „Paście Trzodę Bożą". To jest taki podręcznik, który mówi, jak sądzić ludzi i za co karać. W ostatnim czasie wyszła nowa pozycja tej książki. Do 2023 roku to książka mówiła jeszcze, że nie można było wykluczyć kogoś, jeśli ktoś w rodzinie zadawał się z kimś wykluczonym. Czyli moja mama na przykład mogłaby się ze mną zadawać i wtedy nie podlegałaby wykluczeniu. Byłaby nieporządna, nie byłaby przykładem, natomiast nie można jej było wykluczyć.

Myśli Pan, że są jakieś realne szanse, że coś zmieni się w kwestii ostracyzmu? Co musiałoby się stać?

To jest bardzo proste. Jeżeli świadkowie Jehowy są zarządzani przez 11 osób, zwanych ciałem kierowniczym, które mieszkają w Warwick w USA, to gdyby oni na spotkaniu, które mają co środę, stwierdzili: „Słuchajcie, ten ostracyzm nas dobija, mamy problemy z tym, w tym kraju, ciągają nas po sądach. Słuchajcie, stwierdzimy, że to jednak biblijnie nie ma pokrycia i ogłosimy to". Wychodzą na scenę, ogłaszają, że jest nowe światło – oni nazywają wszelkie zmiany w doktrynie nowym światłem, że coś im Duch Święty powiedział – i w tym momencie nie ma ostracyzmu wśród świadków Jehowy. Walczę o to, aby został on zniesiony, bo takich ludzi jak ja, czyli byłych świadków Jehowy, są w Polsce tysiące, a na świecie setki tysięcy.

eprasa.pl 28709e6c16

POLITYKA

Stary dobry serial „Bonanza", czyli jak nie wyglądał Dziki Zachód

„Bonanza", popularny w latach 60. i 70. westernowy teletasiemiec, to wzorcowy przykład amerykańskiej polityki historycznej. Pierwszy odcinek stacja NBC wypuściła na ekrany 12 września 1959 r., ostatni 16 stycznia 1973 r.

Mariusz Grabowski

Serial trafił do telewizji całego świata, nawet za Żelazną Kurtyną wszyscy chcieli być szlachetnymi kowbojami z Ponderosy.

Gdy sięgnie się do opracowań historycznych widać, że kowboj, czyli pasterz krów, był z reguły niewykształconym prostakiem, często zwykłym łobuzem i kryminalistą, który nigdzie nie ruszał się bez broni.

Wybielanie dziejów

Mało to atrakcyjne, zatem szybko zaczęto mitologizować nie tylko kowbojów, ale cały tzw. Dziki Zachód. Stąd westerny – opowieści o konflikcie na styku cywilizacji z naturą. Tę pierwszą symbolizował nowy ład – stróże prawa, porządne miasteczka i ich mieszkańcy, użyźniona gleba i parowa kolej. Tę drugą – bezkres prerii, przemierzające ją stada bizonów, wyjęci spod prawa rabusie, brawurowi kowboje oraz nieuchwytne i niebezpieczne dzikusy w pióropuszach.

Do tego dochodzi cały westernowy sztafaż: szeryfowie w białych kapeluszach, pojedynki rewolwerowców, poker i powabne ślicznotki w saloonach, ponadto napady na dyliżanse i amerykańska kawaleria, która zawsze przybywa na czas.

Kowboj w pełnej krasie

„Kowboj raczej nie wyglądał jak Clint Eastwood czy John Wayne – pisze Anna Pisarska w tekście „Z życia Dzikiego Zachodu – praca i nuda". „Tak, kowboj to pastuch. Właściwie z wyglądu przypominał menela. Jego umięśniona wersja, piękne zęby, słuszny wzrost, nienaganna postawa to mit wykreowany w Hollywood. Kowboj do dentysty nie chodził, a zęby miał pożółkłe od żucia tytoniu. A w filmach im gorszy charakter, tym brzydsze zęby. I odwrotnie".

Dodajmy do tego, że z badań nad Dzikim Zachodem, tym rzeczywistym wynika, że średni wzrost kowboja w poł. XIX w. wynosił ok. 1,60 m, a waga 50-55 kg. Często kowboje chorowali na gruźlicę, mieli dolegliwości żołądkowe, bo źle się odżywiali, mieli choroby weneryczne, grzybicę stóp i liczne pasożyty. „Rzadko się myli, ich owłosienie było zapuszczone, mieli długie wąsy, nierzadko brody. No i wszy. Do tego ubranie przesiąknięte odorem krowiego łajna i potu".

FOT. CC

Czy zatem „Bonanza" to przeniesiony na ekrany telewizorów mit? Tak, i to w najlepszym, landszaftowym wydaniu

Ojciec, prać?

Czy zatem „Bonanza" to przeniesiony na ekrany telewizorów mit? Tak, i to w najlepszym, landszaftowym wydaniu. Akcja 430 godzinnych odcinków dzieje się tuż po wojnie secesyjnej na ranchu Bena Cartwrighta Ponderosa, położonym w stanie Nevada nad jeziorem Tahoe niedaleko Virginia City. Każdy z jego trzech synów (lalusiowany Adam, nieco pulchnawy Hoss i kędziaty Mały Joe) miał inną matkę, ale wszystkie zmarły, a wychowaniem synów musiał się zająć samotny ojciec.

Przez kilkaset odcinków mężczyźni (wszyscy z nieskazitelnymi kryształowym uzębieniem i bez wstydliwych chorób) mają liczne przygody i napotykają wiele problemów, które dzielnie przezwyciężają. Galopują, ile wlezie, z ust nie schodzą im wzniosłe słowa, ale potrafią też dać po pysku. W swym postępowaniu kierują się rzecz jasna niezłomnymi zasadami moralnymi, hołdując tradycyjnym wartościom: rodzinie, własności, wolności braterskiej, oraz purytańskiej uczciwości.

Tzw. kwestia indiańska

Z tymi wartościami sławionymi w „Bonanzie" było na Dzikim Zachodzie podobnie jak z samymi kowbojami. Widać to najlepiej na przykładzie kwestii indiańskiej. Nie było żadnego braterstwa między Winnetou i Old Shatterhandem.

Większość rdzennych Amerykanów zmarła wskutek sprowadzonych przez Europejczyków chorób. Ci, którzy przetrwali, znaleźli się w trudnej sytuacji i w większości osadzani byli w rezerwatach.

W krótkim czasie zdziesiątkować ich miały nieświadomie przywleczone przez Europejczyków choroby, załamanie tradycyjnych więzi społecznych i sposobów gospodarowania. Charles C. Mann w książce „1491: Ameryka przed Kolumbem" dowodzi, że wskutek pandemii umrzeć mogło nawet 95 proc. tubylczej ludności obu Ameryk.

Realia życia kowbojów były bardziej niż ciężkie. „Mężczyźni nie przesiadywali całymi dniami w saloonach, bo na ranczo było dużo roboty, ich życie nie koncentrowało się na pościgach i ulicznych walkach. Prostytutki nie umilały im życia w saloonach. Zresztą prostytutki zawsze spotykały się z ostracyzmem" – dodaje Pisarska.

Idylla w Ponderosie

Na pomysł serialowej laurki wpadli producenci Republic Pictures, w 1967 r. wchłoniętej przez Paramount Televison). Chodziło o realizację telewizyjnej familijnej sagi, która miała gromadzić przed ekranami wszystkie pokolenia i jak ognia unikać tzw. trudnych spraw, zarówno tych historycznych jak i światopoglądowych. Stąd większość pokazanych w serialu dram to obyczajówka.

Już w pierwszym odcinku „A Rose for Lotta" przebiegły magnat górniczy wynajmuje aktorkę Lottę Crabtree, by zwabiła i porwała Małego Joe w celu wymuszenia na Benie Cartwright'cie praw do wycinki lasów. W drugim „Death on Sun Mountain", mordowani są właściciele rancz, a bydło kradzione, w trzecim, „The Newcomers", Ben z synami rozprawiają się z wrogiem rodziny Blake'm McCallem, który w przeszłości został już raz przepędzony z Ponderosy za zabijanie bydła.

Scenariusze wszystkich odcinków wyszły spod pióra jednego człowieka – Davida Dortorta. Reżyserzy się zmieniali, a on trwał na posterunku jak moralne fundamenty Panderosy. Chwytliwy motyw muzyczny do serialu skomponowali Ray Evans i Jay Livingston.

Świat w technikolorze

„Bonanza" była serialem dość kosztownym. Budżet wynosił od 1000 do 1500 dolarów na jeden odcinek, co na przełomie lat 50. i 60. czyniło z niego najdroższy serial telewizyjny w cotygodniowej produkcji.

Co więcej, serial był kolorowy – w Stanach oficjalnie uruchomiono kolorową telewizję już w 1950 r. Według plotki, którą przywołuje Charles Bramesco w „Colours of Film" powód ukolorowienia serialu był prozaiczny: spółką macierzystą NBC była firma RCA, która w tamtym czasie próbowała masowo sprzedawać swoje nowe, pionierskie telewizory kolorowe. Żywe barwy krajobrazów Nevady i rancza Ponderosa stanowiły idealną reklamę tej technologii.

Oszczędzano na czym innym. W scenach akcji regularnie wklejano gotowe ujęcia kaskaderskie i krajobrazowe z archiwów (tzw. stock footage), a Cartwright'owie przez całe 14 sezonów paradują w tych samych ciuchach.

Odwrócenie wartości

I paradowaliby dalej, gdyby nie śmierć grającego Hossa Dana Blockera w 1972 r. Serial przerwano i mimo późniejszych prób reaktywacji „Bonanza" w sposób naturalny wyzionęła ducha.

Zmieniły się też westernowe mody. Pojawił się tzw. Revisionist Western, czyli antywestern, który kwestionował mity narosłe w klasycznym gatunku. Przełomowa była „Dzika banda" Sama Peckinpaha z 1969 r., który pokazał w niej schyłek epoki rewolwerowców pełen brutalności i braku wyraźnego podziału na dobro i zło.

Równie popularna stałą się włoska odmiana filmu kowbojskiego, nazywana potocznie spaghetti westernami. One także obalały mit sielskiego amerykańskiego pogranicza i forsowały nowy typ bohaterów – najemników bądź rewolwerowców bez skrupułów moralnych. Najlepszym przykładem jest „Dobry, zły i brzydki" Sergia Leone z 1966 r.

W kapeluszu czy bez

„Bonanza" żyje do dziś na zasadzie sentymentu. Serial wciąż można oglądać w telewizjach całego świata, także w polskich. Fani wracają do przygód rodziny Cartwrightów z tęsknoty za prostotą, klarownym podziałem na dobrych i złych oraz ze względu na kultową czołówkę z płonącą mapą. Ponoć wymyślił ją Bert Glennon, autor zdjęć do pierwszych odcinków.

Serial był nieodłącznym elementem pokoleniowej edukacji. Daniel Wyszogrodzki, autor wspomnieniowej książki „Plac Leńskiego" pisze: „Oglądaliśmy razem wszystkie odcinki – Ba, Dziadek i ja, w każdą niedzielę. Przynajmniej wiedziałem, że mogę spokojnie oczekiwać na szczęśliwe zakończenie (...) Poza tym mieli konie. Największe wrażenie robił na mnie Joe, najmłodszy z synów. Może dlatego, że był mi najbliższy wiekiem? Wspaniale jeździł konno, strzelał z rewolweru i umiał się bić na pięści. A do tego pięknie wyglądał – w kapeluszu czy bez".

eprasa.pl 28709e6c16

DROBNE

Nieruchomości

LOKALE UŻYTKOWE - KUPIĘ

KUPIĘ Twój problem z udziałem w nieruchomości, spadku ! Nie wiesz co robić, nie dogadujesz się z rodziną, współwłaścicielem? Sprzedaj mi swój udział ! 602738759

DZIAŁKI, GRUNTY SPRZEDAM

DZIAŁKA siedliskowa 1,15h (można podzielić) z linią brzegową 45m, Jez. Rydzewo, Poj. Drawskie 18zł/mkw, 502914559.

DZIAŁKA siedliskowa 1,15h (można podzielić) z linią brzegową 45m, Jez. Rydzewo, Poj. Drawskie 18zł/mkw, 502914559.

Handlowe

JUBILERSTWO

SKUP złota i srebra, wszystkie próby, ul. Młyńska 63, K-lin 509-345-577.

Zdrowie

NEUROLOGIA

SPEC. Neurolog. NFZ. Bez kolejek.

Codziennie. Koszalin, 605-284-364.

Turystyka

KRAJ - GÓRY

Beskidy, turnus 7dniowy od 1250zł. Ful opcja, cisza, spokój, natura, miodowyraj.pl 501642492.

PROMOCJA - pobyt - 95 zł ze śniadaniem. TYLICZ k/Krynicy G., pok. z łaz.+TV, bilard, parking, 730-007-166

KRAJ - MORZE

ŁEBA - tanie pokoje z łaz. 603-471-715.

Różne

STARE książki skup, 881-934-948

Rolnicze

ZWIERZĘTA HODOWLANE

KURY nioski dowóz 600539790

INNE

WYSYŁKOWA sprzedaż miodu, sprzedam pszczoły, 519-473-581.

AUTOPROMOCJA

ibo TWOJE DOMOWE BIURO OGŁOSZEŃ

Ogłoszenia drobne w Twojej gazecie zlecisz przez Internetowe Biuro Ogłoszeń: **ibo.polskapress.pl**

AUTOREKLAMA

strona zdrowia

Czytaj dla zdrowia

stronazdrowia.pl

REKLAMA 0111562220

FIRMA SPRZEDA budynek przemysłowy w Poznaniu przy ul. Malwowej 158.

Powierzchnia użytkowa budynku – 3202,80 m², powierzchnia gruntu – 0,8701 ha.

Tel. kontaktowy 603 920 399

ZDROWIE

Piekło narkotyków. „Ja, matka oskarżam system!”

Jest matką 16-letniej Natalki, dziewczyny uzależnionej od narkotyków. Mówi, że od wielu miesięcy walczy nie tylko z chorobą, ale również z systemem

Małgorzata Oberlan

– Jestem zdesperowana, wyczerpana i rozczarowana. Przeszłam wszystkie dostępne procedury prawne i administracyjne, aby ratować życie i zdrowie mojego dziecka. Składałam wnioski, współpracowałam z sądem, lekarzami, terapeu-tami i ośrodkami. Dziś jednak dochodzę do smutnego wniosku, że w Polsce rodzic, który walczy o życie swego uzależnionego dziecka, pozostaje praktycznie bez realnego wsparcia państwa – z goryczą relacjonuje nam matka z dużego miasta w Kujawsko-Pomorskiem.

Jak podkreśla, najbardziej bolesne było dla niej odkrycie, że nawet sąd rodzinny, do którego zwróciła się po pomoc jako do najwyższego autorytetu w sprawach dziecka, nie ma faktycznej możliwości szybkiego i skutecznego zabezpieczenia nieletniego przez umieszczenie go w miejscu gwarantującym bezpieczeństwo i odpowiednią terapię. – Procedury stworzone przez przepisy wykonawcze, komisje i dodatkowe etapy opiniowania powodują wielotygodniowe opóźnienia, podczas gdy każde kolejne dni zwłoki mogą decydować o życiu lub śmierci dziecka uzależnionego – alarmuje Maria. I krok po kroku obnaża słabe punkty systemu na podstawie smutnej historii prób leczenia swojej Natalki.

„Na wskazanie przez komisję ośrodka dla córki czekałam półtora miesiąca!”

Przed pojawieniem się problemu w swojej rodzinie Maria nie zdawała sobie sprawy, jak łatwo młodzież może nabywać narkotyki oraz jak powszechny jest do nich dostęp.

– Dziś wiem, że państwo nie jest przygotowane na skalę tego zjawiska. W sytuacjach wymagających natychmiastowej reakcji rodzice zostają uwikłani w kolejne procedury, opinie i decyzje różnych komisji – ocenia Maria.

Szczególnie niezrozumiałe jest dla Marii funkcjonowanie Komisji Psychiatrycznej do Spraw Kierowania do Ośrodków Leczniczych dla Nieletnich. Na wskazanie ośrodka dla swojego dziecka czekała około półtora miesiąca. Jak podkreśla, w przypadku dziecka uzależnionego jest to czas nie do zaakceptowania. Każdy dzień zwłoki może oznaczać pogorszenie stanu zdrowia, nawrót uzależnienia czy nawet utratę życia.

Taka komisja liczy osiem osób i obraduje dwa razy w miesiącu. Każdy z członków otrzymuje wynagrodzenie za udział w jej pracach.

– Jako matka dziecka walczącego o zdrowie i życie nie potrafię zrozumieć, dlaczego procedura trwała półtora miesiąca, skoro o losie dziecka decyduje osiem osób spotykających się regularnie i wynagradzanych z publicznych środków. Jeszcze bardziej niezrozumiały jest fakt, że moja córka została skierowana do placówki, która ostatecznie nie była w stanie zapewnić jej odpowiednich warunków leczenia i dalszego pobytu. Powstaje więc zasadnicze pytanie: czy przed wydaniem decyzji ktokolwiek sprawdził, czy we wskazanym ośrodku są wolne miejsca i czy placówka rzeczywiście jest przygotowana do pracy z dzieckiem o takim profilu problemów? – pyta matka.

„Kolejna komisja, kolejne czekanie, a dziecko bez skutecznej pomocy”

Maria uważa, że ośrodek nie był odpowiedni dla jej córki, bo uznał, że nie jest w stanie z nią dalej pracować, ponieważ nie stosuje się do ośrodkowych zasad i opuszcza jego teren. A przecież mowa o dziecku uzależnionym, wymagającym leczenia i zabezpieczenia...

Co w takiej sytuacji dzieje się dalej? Zarówno sąd rodzinny (to on podejmuje takie decyzje), jak i rodzice uzależnionego dziecka stają przed kolejną procedurą i kolejną komisją. W przypadku Marii i Natalki była to tym razem Komisja ds. Kierowania Nieletnich do Młodzieżowych Ośrodków Wychowawczych.

– I wszystko zaczyna się od nowa... Kolejne dokumenty. Kolejne wnioski. Kolejne terminy. Kolejne oczekiwania. A w tym czasie dziecko pozostaje bez skutecznej pomocy. Z perspektywy rodzica wygląda to tak, jakby system bardziej chronił własne procedury niż dzieci. Zamiast szybkiej reakcji i ciągłości pomocy dziecko trafia z jednej procedury do drugiej, z jednej komisji do kolejnej komisji, a każda z nich potrzebuje czasu na podjęcie decyzji. Tymczasem uzależnienie nie czeka na terminy posiedzeń, opinie i dokumenty – podkreśla z całą mocą Maria.

„Dziecko z placówki wraca do środowiska związanego z narkotykami”

Kolejnym paradoksem dla matki uzależnionej Natalki jest to, co stało się po opuszczeniu przez córkę ośrodka. – Mam ogromny problem ze zrozumieniem sytuacji, w której dziecko będące od kilku tygodni w abstynencji zostaje wypisane z placówki i skierowane przez sąd z powrotem do środowiska, gdzie funkcjonują osoby związane z narkotykami – nie kryje goryczy Maria. – Trudno nie odnieść wrażenia, że państwo oraz instytucje odpowiedzialne za ochronę dzieci pozostawiają rodzinę samą sobie. Mam poczucie, że odpowiedzialność za los takich dzieci, jak moja córka, rozmywa się między sądami, komisjami, ministerstwami i placówkami...

Zdaniem matki, skoro sądy rodzinne dysponują w takich sprawach pełną dokumentacją dotyczącą dziecka, to powinny móc samodzielnie podejmować decyzje o tym, do jakiej placówki je kierować – bez tylu komisji i wielotygodniowych oczekiwań.

„Podobnych rodzin w Polsce są tysiące”

Matka z Kujawsko-Pomorskiego podkreśla, że relacjonuje całą historię nie tylko w imieniu własnym. – Jestem przekonana, że podobnych rodzin w Polsce są tysiące. Wielu rodziców każdego dnia walczy nie tylko z uzależnieniem swoich dzieci, ale również z procedurami, które, zamiast pomagać, wydłużają czas oczekiwanie na pomoc – ocenia.

Maria nie tylko zdecydowała się zrelacjonować własny problem mediom (nie jest łatwo zdecydować się na taki krok), ale i wysłać wnioski i pytania do: sądu, rzecznika praw dziecka, ministra zdrowia, ministra sprawiedliwości, przewodniczącego Komisji Sprawiedliwości i Praw Człowieka. Czeka i liczy na konkretne odpowiedzi.

Wypowiedzi zamieszczone na forach internetowych grup rodziców dzieci uzależnionych pokazują, że mierzą się oni z podobnymi problemami w całym kraju.

Prywatny detoks: 4-8 tys. zł. Terapia: od 7 do ok. 20 tys. zł

Leczenie uzależnień u dzieci i młodzieży w placówkach mających kontrakt z NFZ jest całkowicie bezpłatne, również dla osób bez ubezpieczenia zdrowotnego. Minusem bywa jednak właśnie czas oczekiwania na wolne miejsce oraz surowsze warunki bytowe.

A prywatnie? Może być szybko i w całkiem komfortowych warunkach. Warunek: mamy dużo pieniędzy albo dla ratowania dziecka je pożyczymy, zorganizujemy. Niestety, nierzadko w przypadku uzależnionych nastolatków bywa tak, że detoks i terapię w ośrodku trzeba powtarzać, bo młody człowiek wraca do piekła nałogu. Koszty zatem można pomnożyć...

eprasa.pl 28709e6c16

ZBLIŻENIA

Jak powstała polska szkoła plakatu

Mariusz Grabowski

Od młodopolskich manifestów, po nowoczesne projekty graficzne. W Muzeum Plakatu prezentrowana jest kolejna edycja wystawy „Plakat polski. Kolekcja".

olekcja plakatu polskiego w Wilanowie liczy obecnie blisko 36 tys. obiektów. Po raz pierwszy w historii pierwszego na świecie muzeum plakatu będą one prezentowane w ramach wystawy stałej. Na początek zobaczymy 240 prac.

Plakat – znak czasu

Ciekawostką wystawy będzie to, że ekspozycja będzie zmieniać się co trzy miesiące. Przede wszystkim ze względu na kruchą naturę papieru. Istota graficznej opowieści jednak pozostanie ta sama. To historia przemian społecznych, kulturowych, politycznych, a nawet ekonomicznych, które pozostawiły swój ślad na plakatach. Dowodem najstarszy zachowany w kolekcji Muzeum plakat, a właściwie afisz, zachęcający do korzystania z Żeglugi Parowej Maurycego Fajansa.

Wystawa jest podzielona na sześć rozdziałów: od czasów Młodej Polski, poprzez reklamę artystyczną Dwudziestolecia międzywojennego, powojenną propagandę Polski Ludowej, artystyczny fenomen polskiej szkoły plakatu, po nowoczesne projektowanie graficzne.

Zespół kuratorski wystawy tworzą: Izabela Iwanicka Dzierżawska, Mariusz Knorowski, Aleksandra Oleksiak, Bożena Pysiewicz i Michał Warda.

Dramat, wykład, plakat

Aby przyjrzeć się narodzinom plakatu polskiego - w jego artystycznej nie zaś afiszowej, czysto informacyjnej odsłonie - trzeba cofnąć się do schyłku XIX w. Konkretnie do roku 1899, kiedy powstało „Wnętrze" Stanisława Wyspiańskiego, grafika do inscenizacji dramatu Maurycego Maeterlincka poprzedzonego odczytem Stanisława Przybyszewskiego. Stało się to pół wieku po tym, jak Henri de Toulouse-Lautrec zaprojektował pierwsze cykle litografii reklamowych, uznanych za „artystyczne".

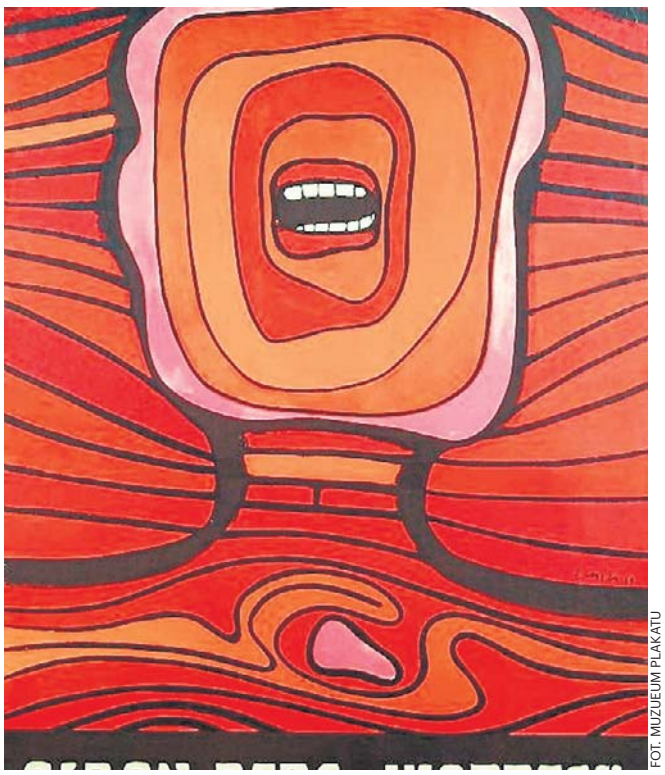

FOT. MUZUEUM PLAKATU

W 1966 r. odbyło się I Międzynarodowe Biennale Plakatu. Złoty medal otrzymał na nim Jan Lenica za plakat do opery „Wozzeck" Albana Berga, wykonany w 1964 r.

„Wnętrze" powstało w okresie przekształcania się afisza w plakat. Obraz nie upiększa, jak w afiszu, treści reklamy spektaklu, lecz nie4jako „mówi" o nim odbiorcy, „dopowiada" słowny anons o autorską interpretację spektaklu. „Tak ukształtowana praca nie tylko spełnia wszystkie wymogi plakatu, ale też plasuje się w szeregu najwybitniejszych dokonań w zakresie tego typu komunikacji artystycznej. Wnętrze jest pierwszym polskim plakatem artystycznym" – twierdzi Alina Biała w tekście „Wnętrze Stanisława Wyspiańskiego – afisz czy plakat?".

Duch Mehoffera

Młodopolska sztuka naznaczona była charakterystyczną cechą, której próżno szukać w sztuce plakatowej innych nacji: elementami propagandy patriotycznej. Twórcy tacy jak Jacek Malczewski, Józef Mehoffer czy Stanisław Wyspiański nie hołdowali idei „sztuki dla sztuki", dążyli raczej do tego, aby sztuka docierała bezpośrednio do rodaków za pomocą uniwersalnych symboli, motywów i odwołań narodowych.

To właśnie plakat był idealnych medium do pełnienia tej funkcji – mógł w symboliczny sposób przemawiać do narodu bezpośrednio z ulicy. Przykładem plakat „Loterya na urządzenie Domu Matejki" z 1899 r. autorstwa Józefa Mehoffera. To afisz, ale niezwykle nasycony symboliką. Podobnie jak jego „Projekt okładki do Sztuki Polskiej" z 1903 r.

Projekt od podstaw

Międzywojnie stawiało twórcom plakatu inne zadania. W 1926 r. na Wydziale Politechniki Warszawskiej powstała Pracownia Grafiki Użytkowej. Program nauczania stwarzał studentom podstawy do projektowania również plakatu. Dbano, zwłaszcza w pracowniach Stanisława Noakowskiego, czy Rudolfa Świerczyńskiego, o graficzny wyraz projektu, o formę podania, biegłość rysunkową, typograficzną, kompozycyjną. Obowiązywała znajomość rysunku nie tylko architektonicznego, perspektywicznego, ale i akademickiego.

Drugim ośrodkiem warszawskim była Szkoła Sztuk Pięknych (od 1932 r. Akademia), gdzie czyniono wysiłki mające na celu utworzenie bloku pracowni użytkowych. W 1922 r. powstała pracownia grafiki, w 1924 r., a w roku 1926 powstała Pracownia Grafiki Użytkowej prowadzona przez Edmunda Bartłomiejczyka lansującego ideę przenikania się dyscyplin.

Być jak Gronowski

Przyjrzyjmy się pracom Tadeusza Gronowskiego, uznawanego za jednego z pionierów nowoczesnego polskiego plakatu. Artysta był znany ze swojej wszechstronności i umiejętności łączenia intensywnych barw z prostymi, uniwersalnymi znakami graficznymi. Jego prace, takie jak „Hulanicka" (1926), „Gentelmen" (1929), czy plakat „Papierosów Gabinetowych" (1931), odzwierciedlały wyrafinowany styl art déco i były charakterystyczne dla tamtej epoki. Nie chodziło już o młodopolskie emocje, ale o użytkowość i pragmatyzm.

To nie przypadek, że to Gronowski był autorem nadal używanego logotypu Polskich Linii Lotniczych LOT (wpisanego w okrąg, stylizowanego żurawia w locie), którym w 1929 r. wygrał konkurs ogłoszony przez to przedsiębiorstwo na nowy znak firmowy.

On jest wszędzie

Sztuka Tadeusza Gronowskiego to esencja myślenia o dziele artystycznym w służbie codzienności. Nie bez powodu Antoni Słonimski, na wpół żartobliwie pisał w 1924 r. w „Wiadomościach Literackich":

„Rano człowiek się budzi, patrzy w kalendarz (rysowany przez Tadeusza Gronowskiego) i zapala papierosa (pudełko rysowane przez Tadeusza Gronowskiego). Na ulicy, na każdym słupie parę plakatów (rysowane przez Tadeusza Gronowskiego) zachęca człowieka do kupowania różnych przedmiotów. Gdy bierze się do ręki książkę (okładka Tadeusza Gronowskiego) i przegląda »Panią« (rysunki Tadeusza Gronowskiego), gdy czyta się jakiekolwiek pismo (winieta tytułowa Tadeusza Gronowskiego), gdy wreszcie idzie się do kina (afisz i reklamy świetlne – Tadeusz Gronowski) albo do teatru (dekoracje projektował Tadeusz Gronowski) – wszędzie spotyka się to nazwisko".

Władza patrzy na ręce

Po 1945 r. plakat polski nie tylko po raz kolejny zmienił formę, a także zastosowanie. Nowa władza traktowała plakat jako narzędzie propagandowe, a każda decyzja artystyczna musiała jednocześnie być deklaracją światopoglądową. Plakat szybko stał się instrumentem agitacji i indoktrynacji.

Oficjalną linię i wykładnię propagandy państwowej ustalały instytucje centralne. Początkowo zadanie to powierzono Agencji Propagandy Artystycznej, utworzonej w 1945 r. Cały system indoktrynacji komunistycznej został zawarty w serii piktogramów ułatwiających poruszanie się w nieznanej przestrzeni społecznej. Prawomyślności twórców miała zaś strzec cenzura, czyli Główny Urząd Kontroli Prasy, Publikacji i Widowisk powołany dekretem w 1946 r.

Rodzi się PSP

Po 1956 r., na zasadzie odreagowania po socrealizmie narodziło się zjawisko artystyczne, zwane Polską Szkołą Plakatu. Określenie powstałe w latach 60. i stosowane jest wobec grupy polskich artystów, którzy zdobyli międzynarodowe uznanie jako twórcy plakatów o tematyce politycznej, społecznej i kulturalnej: film, teatr, wystawy, a nawet przedstawienia cyrkowe.

W 1966 r. odbyło się I Międzynarodowe Biennale Plakatu - pierwsza na świecie cykliczna impreza poświęcona sztuce plakatu. Złoty medal otrzymał na nim Jan Lenica za plakat do opery „Wozzeck" Albana Berga, wykonany w 1964 r. i określany jako „międzynarodowa ikona lat 60.".

W związku z ogromnym rosnącym zainteresowaniem polskim plakatem, dwa lata później komunistyczne władze PRL zezwoliły na otwarcie w Wilanowie pierwszego na świecie Muzeum Plakatu.

Tomaszewski w Wiedniu

W tomie „Polska Szkoła Plakatu w latach 1956-1965" czytamy; „Za najwybitniejszych przedstawicieli polskiej szkoły plakatu uznaje się Józefa Mroszczaka oraz Henryka Tomaszewskiego, którzy na warszawskiej ASP prowadzili katedrę plakatu".

Mroszczak był ponadto pomysłodawcą i de facto twórcą wspomnianego Biennale, Tomaszewski zaś naszym najbardziej rozpoznawalnym artystą-plakacistą na świecie – na Międzynarodowej Wystawie Plakatu w Wiedniu w 1948 r. zdobył pięć pierwszych nagród.

Ale zastęp plakacistów tamtego okresu był znacznie większy. Zaliczyć doń można m.in. Tadeusza Trepkowskiego, Eryka Lipińskiego, Romana Cieślewicza, Jana Lenicę, Jana Młodożenieca, Franciszka Starowieyskiego czy Waldemara Świerzego. Z czasem pojawili się także: Walerian Borowczyk, Wojciech Zamecznik, Wojciech Fangor, Julian Pałka, Rosław Szaybo, Maciej Hibner, Tadeusz Jodłowski, Marek Mosiński, Witold Janowski, Mieczysław Wasilewski oraz Andrzej Krajewski.

Polska duma

Na kształt estetyki Polskiej Szkoły Plakatu duży wpływ miały społeczne i polityczne uwarunkowania PRL. Ograniczenia systemowe, poczucie izolacji oraz brak perspektyw siłą rzeczy znajdowały odbicie w plakacie. Artystom narzucano pewne ograniczenia, ale jednocześnie pozostawiano spore pole do swobodnej ekspresji.

Polski plakat doceniono zarówno w kraju, jak i za granicą. Zagraniczni krytycy oraz kuratorzy podkreślali jego oryginalność i rozpoznawalność. Robią to zresztą do dziś – w 2015 r. Martin Scorsese w artykule opublikowanym na łamach „The Guardian", poświęconym polskiej kinematografii, przyznał, że posiada w swojej kolekcji sporo polskich plakatów filmowych. „Ich twórcy – pisał - potrafili „uchwycić w jednej kompozycji koncepcję całego filmu".

Wystawa „Plakat polski. Kolekcja", od 14.03 w Muzeum Plakatu, ul. St. Kostki Potockiego 10/16. Informacje: postermuseum.pl

eprasa.pl 28709e6c16

BIOGRAFIA

„O czym ty znowu piszesz, Jane!?”

Czym wydana właśnie przez Marginesy biografia Jane Austen (1775-1817), autorstwa Catherine Bell, różni się od wielu poprzednich? Formą. Bell postanowiła bowiem opisać życie ukochanej pisarki w formie zbeletryzowanej. Opowieść o autorce „Rozważnej i romantycznej” czyta się potoczyście jak powieść, co w niczym nie zmienia jej wartości biograficznej.

Dowiadujemy się zatem o niespełnionej miłości do Toma Lefroya, która, choć tragiczna, stała się fundamentem dla wielu romantycznych perypetii w jej powieściach. Poznajemy też kulisy jej późniejszych wyborów. Sporo jest też o jej życiowej niezłomności – mimo niekończących się odmów wydawniczych, przeprowadzek, finansowej niepewności i osobistych tragedii, Austen nigdy nie przestała pisać.

Ciekawska Bell zajęła się też jej życiem bardziej intymnym niż tylko dziewczęce flirty z Lefroyem. Austen nigdy nie wyszła za mąż, jednak miała na koncie kilka złamanych serc. Romansowała, i to całkiem poważnie, z niejakim Harrisem Bigg-Witherem, młodszym od niej o sześć lat (gdy się poznali w Bath Austen miała 27). Bigg-Wither był bogaty jak nabab, ale nie odznaczał się urodą, ani intelektem, więc pisarka ostatecznie dała mu kosza. **mg**

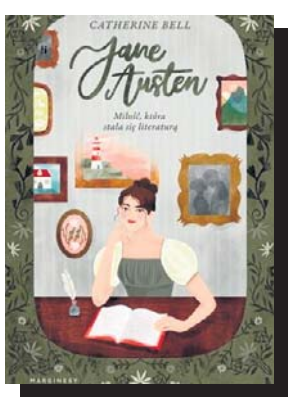

Catherine Bell, „Jane Austen. Miłość, która stała się literaturą”, wyd. Marginesy, Warszawa 2026, cena 59,90 zł

WIEŚCI NIE Z TEJ ZIEMI

Michał Wiśniewski

Nie lubi spowiedzi

W niedawnej rozmowie z Moniką Richardson wokalista zespołu Ich Troje opowiedział o swej relacji z Kościołem. – Ja jestem wierzący. Choć nie jestem wiernym praktykującym, chodzącym do kościoła. Jestem protestantem. Ale to jest bez znaczenia, bo urodziłem się jako katolik. Wziąłem ślub w wierze katolickiej, bo jestem chrzczony. Byłem u komunii, a z wyboru jestem protestantem – stwierdził. Okazuje się, że głównym powodem, dla którego gwiazdor odsunął się od katolicyzmu, jest niechęć do konieczności wyznawania swych grzechów przed księdzem. – Podobnie jak wiele osób uważam, że powinienem się spowiadać tylko i wyłącznie przed Bogiem – podsumował.

Jacek Kawalec

Przeprosił na wizji

Kilka tygodni temu aktor sparodiował podczas kabaretowego występu Zenka Martyniuka. Odbiło się to szerokim echem – nie dość, że król disco polo stwierdził, że Kawalec jest „chamski i bezczelny”, to koledzy z Budki Suflera wyrzucili go z zespołu. Kilka dni temu podczas wizyty w programie Kuby Wojewódzkiego aktor uderzył się w piersi. – Panie Zenku, jeśli pan się poczuł urażony, to ja przepraszam, ale ja nie śpiewałem wyłącznie o panu. Ja śpiewałem po prostu o zjawisku, jakim jest disco polo. I tyle – powiedział. I dodał: – Niektórym wykonawcom disco polo zdarza się wpaść do fontanny razem z mikrofonem i śpiewać dalej. Mówię o zjawisku, jakim jest disco polo. Ja po prostu tej muzyki nie lubię i dlatego ją sparodiowałem.

Klaudia El Dursi

Szykuje najgłośniejszą imprezę

Celebrytka urodziła swego syna Dawida, mając zaledwie dziewiętnaście lat. Kilka dni temu poinformowała w mediach społecznościowych, że jej pierworodny niebawem osiągnie pełnoletność. Choć do urodzin Dawida zostało jeszcze trochę czasu, przezorna mama już teraz ruszyła w miasto na wycieczkę po salach eventowych, w których mogłaby odbyć się impreza z okazji osiemnastki. Na filmiku widać, że Dawid to kawał chłopa – bo zdążył już przerosnąć swą mamę o głowę. „Nie wiem, jak do tego doszło (w sumie mogę się domyślać, że 17 lat i 7 miesięcy temu), ale mój syn za chwilę ma 18-stkę. Czy ja jestem gotowa, żeby wyprawić mu najgłośniejszą imprezę w mieście? Jeszcze nie, ale chyba będę musiała” – podpisała filmik prezenterka.

FOT. SYLWIA DABROWA

Maja Ostaszewska jako zdeklarowana obrończyni praw zwierząt podziwia inteligencję dzików

Sylwia Grzeszczak

Wspiera byłego męża

Trzy lata temu piosenkarka poinformowała o zakończeniu swego małżeństwa z kolegą po fachu – wokalistą Liberem. Od tamtego czasu para układa swoje życie prywatne i zawodowe osobno. Teraz w rozmowie z RMF FM wokalistka zdradziła, jak wyglądają ich obecne relacje. – Bardzo ważne jest to, żeby pozwolić drugiej połówce – która po rozwodzie idzie w świat dalej – żeby ona miała swoją przestrzeń. Żeby miała możliwość rozwoju. Żeby te dwie strony wspierały się – powiedziała. I dodała: – Ja życzę jak najlepiej, żeby mój były mąż po prostu układał sobie życie. Żeby mu się poszczęściło i to jest najważniejsze. Swoje życie układam po swojemu, w swoim szczęściu i pilnując tego szacunku.

Kinga Rusin

Przeżyła etnoorgazm

Od kilkunastu dni celebrytka przebywa wraz ze swym partnerem w Kirgistanie. Ostatnio zakochani zaprezentowali się fanom w oryginalnych kapelusikach, które nałożyli, uczestnicząc w Światowych Igrzyskach Nomadów. „Przeżyliśmy tu „etnoorgazm”! Te igrzyska to jedno z najbardziej niezwykłych wydarzeń, jakie widziałam podczas naszych podróży! Zatopiliśmy się w nieznany, ale fascynujący świat kultury nomadów, pasterskich ludów, z ich umiłowaniem wolności, przestrzeni, kontaktu z naturą” – napisała na Instagramie. I dodała: „Celowo nie poszliśmy na uroczyste otwarcie olimpiady (choć było spektakularne!). Wiedzieliśmy, że w Biszkeku jest Putin i że pojawi się na stadionie. Nie chciałam być częścią wydarzenia, które jego obecność niestety zamieniła w polityczny spektakl”.

Maja Ostaszewska

Podziwia inteligencję dzików

Jako zdeklarowana obrończyni praw zwierząt, aktorka chętnie zabiera głos w tej kwestii. Ostatnio w rozmowie z Onetem odniosła się do coraz częstszych wizyt dzików w polskich miastach. – Dlaczego tak się dzieje? Dzik jest bardzo inteligentnym zwierzęciem. Na taką skalę, tak masowo są odstrzeliwane dziki w lasach, że te mądre zwierzęta zorientowały się, że jest większa szansa przeżyć w mieście. I mówią o tym naukowcy, którzy są znawcami dzikich zwierząt – powiedziała. Niestety: teoria aktorki została wyśmiana przez internautów, którzy zgodnie orzekli, że przyczyną zjawiska jest po prostu to, że dziki mają w miastach łatwy dostęp do pożywienia w postaci niezabezpieczonych śmietników i kompostowników.

Tomasz Kammel

Zaprzecza, że jest gejem

Prezenter był ostatnio gościem podcastu Żurnalisty. W trakcie rozmowy pojawił się temat orientacji seksualnej Kammela. Od dłuższego czasu krąży bowiem plotka, iż jest homoseksualistą. W odpowiedzi prezenter stwierdził: – Po pierwsze, nie jestem gejem i myślę, że moje postępowanie przez wiele lat, to, jak żyłem, ludziom się w jakiś kanon nie wpisywało, a do tego jeszcze siup, jakaś tam plotka rozpuszczona, no i recepta była gotowa. Przy tym ja zawsze otwarcie mówiłem, że gdybym był gejem, byłbym z tego dumny, nie robiłbym z tego tajemnicy, tylko dążyłbym do jakiejś normalności w postrzeganiu tego. Bardzo bym chciał, żeby osoby homoseksualne mogły brać w Polsce ze sobą ślub i nie mam nic przeciwko adopcji dzieci przez osoby homoseksualne jako pisowiec z pisowskiego kanału – podsumował.

HOROSKOP

Wodnik (20.01 - 18.02)
Intuicja wskaże Ci właściwą drogę. Horoskop dzienny sugeruje, by pozwolić sobie dziś na odrobinę spontaniczności.

Ryby (19.02 - 20.03)
Zaskoczysz innych swoim pomysłem. Horoskop na dziś zapowiada, że to dobry dzień, by zrobić pierwszy krok.

Baran (21.03 - 19.04)
Konsekwencja przyniesie efekty. Horoskop dzienny na piątek radzi wieczorem znaleźć czas na odpoczynek i przyjemności.

Byk (20.04 - 20.05)
Czeka Cię inspirujące spotkanie. Horoskop dzienny radzi wykazać się otwartością na nowe pomysły

Bliźnięta (21.05 - 21.06)
Odkryjesz coś, co długo pozostawało ukryte. Horoskop na dziś sugeruje zachować spokój i działać rozsądnie.

Rak (22.06 - 22.07)
Harmonia wraca do Twoich relacji. Horoskop dzienny na piątek wróży, że rozmowa pomoże Ci zamknąć sprawę, która ciąży od dawna.

Lew (23.07 - 22.08)
Drobny szczegół może dziś wiele zmienić. Horoskop dzienny to wskazówka, by nie ignorować znaków i słuchać swojej intuicji.

Panna (23.08 - 22.09)
Twoja energia przyciągnie uwagę innych. Horoskop na dziś mówi, że jeśli pokażesz inicjatywę – ludzie Cię docenią.

Waga (23.09 - 22.10)
Zadbaj dziś o siebie i swoje potrzeby. Horoskop dzienny na piątek zapowiada, że wieczorem czeka Cię miła niespodzianka.

Skorpion (23.10 - 21.11)
Nowa wiadomość poprawi Ci humor. Horoskop dzienny wróży, że rozmowa może otworzyć drzwi do ciekawej szansy.

Strzelec (22.11 - 21.12)
Spokojny dzień sprzyja ważnym decyzjom. Horoskop na dziś radzi zaufać intuicji i docenić wsparcie bliskich.

Koziorożec (22.12 - 19.01)
Działaj odważnie, ale rozważnie. Horoskop dzienny na piątek mówi, że cierpliwość pomoże uniknąć błędów.

eprasa.pl 28709e6c16

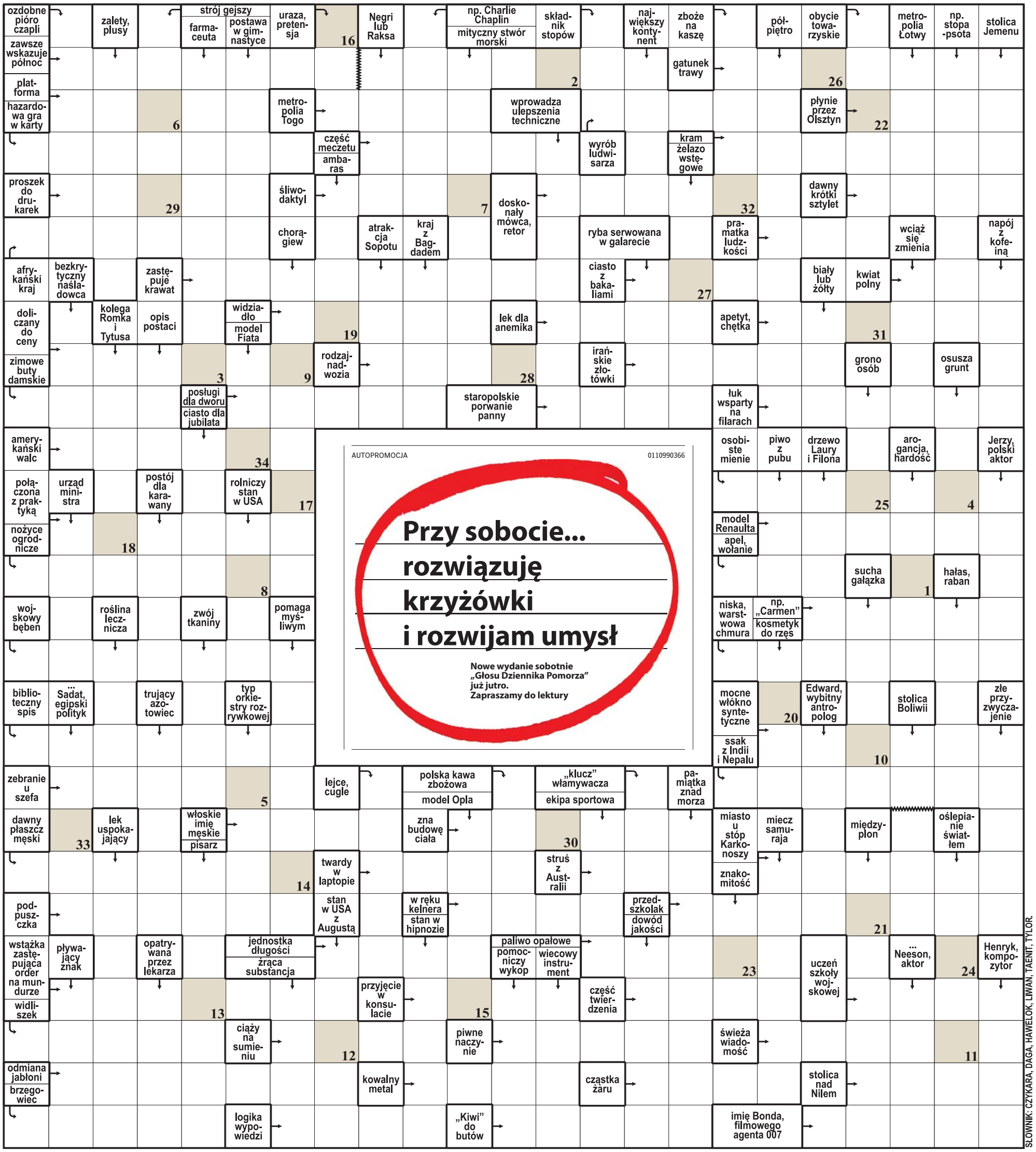

1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17	18	19	20	21	22	23	24	25	26	27	28	29	30	31	32	33	34

Litery z pól ponumerowanych od 1 do 34 utworzą rozwiązanie: aforyzm.

ROZWIĄZANIE: PRZEDMIOTY NIE KAŻDEMU SŁUŻĄ JEDNAKOWO.

eprasa.pl 28709e6c16

LEKKOATLETYKA

„World Athletics Ultimate Championship", czyli na bogato

Paweł Wiśniewski

To nie koniec lekkoatletycznych emocji w tym sezonie. Po Diamentowej Lidze czas na jeszcze lepiej płatną zabawę, którą wymyślili działacze, a sfinansuje... państwo węgierskie. Przez trzy najbliższe dni odbędą się bowiem inauguracyjne zawody „World Athletics Ultimate Championship" (pula nagród to 10 000 000 dolarów)! Nad samym Dunajem.

Na stadionie „Nemzeti Atlétikai Központ", gdzie w 2023 roku gościły mistrzostwa świata, zobaczymy największe gwiazdy światowej lekkoatletyki, z Polakami włącznie. Tylko z zaproszeniami imiennymi.

Trzydniowa, weekendowa impreza składa się z 13 konkurencji indywidualnych dla pań i panów – 8 na bieżni i 5 technicznych – oraz dwóch sztafet mieszanych.

Z Polaków kwalifikacje na „World Athletics Ultimate Championship" wywalczyli:

- Natalia Bukowiecka (400 metrów);
- Klaudia Kazimierska (1500 metrów);
- Pia Skrzyszowska (100 metrów przez płotki);
- Maria Żodzik (wzwyż);
- Jakub Szymański (110 metrów przez płotki);
- Mateusz Kołodziejski (wzwyż);
- Paweł Fajdek (młot);
- Dawid Wegner (oszczep).

Ze startu w Budapeszcie w biegu na dystansie 100 metrów zrezygnowała Ewa Swoboda, dla której sezon zakończył się po sierpniowym „Memoriale Wiesława Maniaka", który odbył się w Szczecinie.

FOT. PAP/EPA

W tym sezonie żadna dziewczyna na świecie nie biegała tak szybko dystansu 1500 metrów, jak nasza Klaudia Kazimierska (3:54,05)!

Pierwsza edycja „World Athletics Ultimate Championship" ma ograniczony program konkurencji: nie zaplanowano m.in. biegów na 3000 metrów z przeszkodami, pchnięcia kulą, rzutu młotem kobiet i sztafet jednopłciowych.

W Budapeszcie wystąpią aktualni mistrzowie olimpijscy, mistrzowie świata i zwycięzcy Diamentowej Ligi w poszczególnych konkurencjach, uzupełnieni czołowymi zawodnikami rankingu World Athletics (bez limitów liczby osób z jednego kraju w jednej konkurencji).

W konkurencjach technicznych oraz w sztafetach przewidziano tylko 8 miejsc startowych (nie licząc pojedynczych „dzikich kart" dla gospodarzy); na 1500 i 5000 metrów pobiegnie 12 osób, a na krótszych dystansach (płaskich i płotkarskich) – 16.

Zwycięskie sztafety otrzymają po 80 000 dolarów. Na Węgrzech obowiązuje podatek 15-procentowy.

Wypłaty indywidualne:

- 1. miejsce = 150 000 $;
- 2. miejsce = 75 000 $;
- 3. miejsce = 40 000 $;
- 4. miejsce = 25 000 $;
- 5. miejsce = 16 000 $;
- 6. miejsce = 14 000 $;
- 7. miejsce = 12 000 $;
- 8. miejsce = 10 000 $;
- 9. miejsce = 9000 $;
- 10. miejsce = 8000 $;
- 11. miejsce = 7000 $;
- 12. miejsce = 6000 $
- 13. miejsce = 5000 $;
- 14. miejsce = 4000 $;
- 15. miejsce = 3000 $;
- 16. miejsce = 2000 $.

Transmisje – piątek, godz. 19.00: Polsat Sport 1, Polsat Sport Extra 4; sobota, godz. 18.00: Polsat Sport 1, Polsat Sport Extra 4; niedziela, godz. 18.00: Polsat Sport 2 i godz. 19.30: Polsat Sport Extra 4.

PIŁKA NOŻNA

Lewandowski z golem, Messi z asystą w hicie MLS Chicago Fire – Inter Miami

Jacek Kmiecik

W meczu sezonu zasadniczego Major League Soccer zapowiadanego jako pojedynek gigantów światowej piłki Roberta Lewandowskiego z Lionelem Messim na Soldier Field Chicago Fire zremisowało z Interem Miami 1:1.

Robert Lewandowski i Lionel Messi rozegrali pełne 90 minut. Zarówno 38-letni „Lewy", jak i 39-letni Leo udowodnili, że mimo zaawansowanego wieku nadal mogą grać na najwyższym poziomie.

Gospodarze otworzyli wynik w 10. minucie, kiedy polski napastnik Lewandowski gola po dośrodkowaniu obrońcy Andrew Gutmana. To 6 gol „Lewego" w pierwszych dziewięciu meczach MLS.

– Asystowanie było przyjemne, ale wykończenie było niesamowite – skomentował Gutman. – To całkiem proste, kiedy po prostu wbijasz piłkę w odpowiednie miejsce, a (Lewandowski) robi resztę.

Dwie minuty po rozpoczęciu drugiej połowy brazylijski pomocnik Interu Miami, Casemiro, wyrównał wynik po centrze Messiego z rzutu rożnego. Była to 13. asysta Argentyńczyka w sezonie.

Spotkanie na Soldier Field obejrzało 63 094 widzów, co jest rekordem frekwencji na własnym stadionie „Strażaków". Z Lewandowskim w składzie Fire osiąga średnio 41 815 widzów w trzech meczach ligowych na Soldier Field. Przed „Lewym" osiągało średnio 19 668 widzów w ciągu ośmiu spotkań.

Środowa reakcja kibiców to jeden z przykładów, dlaczego pozyskanie polskiego goleadora przez Fire miało sens w i tak już udanym sezonie. Poza jego bramkami obecność Lewandowskiego sprawiła, że Chicago stało się drużyną przyciągającą uwagę całego świata.

Chicago zajmuje piąte miejsce w Konferencji Wschodniej, a Inter Miami – drugie. Różnica między nimi wynosi 4 punkty. Prowadzi Nashville SC, mający 9 punktów przewagi nad zespołem Messiego.

MELISSA TAMEZ/ICON SPORTSWIRE/EAST NEWS

Robert Lewandowski w nocy ze środy na czwartek strzelił gola w zremisowanym 1:1 meczu Chicago Fire z Interem Miami

PIŁKA NOŻNA

Najciekawsze transfery z Deadline Day w Polsce

Bartosz Głąb

W ostatnią środę zakończyło się letnie okno transferowe w Polsce. Wiele klubów dopinało ostatnie ruchy praktycznie do ostatniego momentu.

Hitem dnia było ogłoszenie Camilo Meny w Koronie Kielce. Kolumbijczyk przez całe lato był kuszony z najróżniejszych zakątków świata, ale z racji wygórowanych oczekiwań finansowych Lechii Gdańsk wielki transfer nie mógł zostać sfinalizowany. Finalnie 23-latek niespodziewanie został w Polsce. Z medialnych doniesień wynika, że Złocisto-Krwiści wynegocjowali płatne wypożyczenie na poziomie 1 mln euro.

Bardzo ciekawego ruchu dokonał Piast Gliwice, który ściągnął do siebie chilijskiego obrońcę z francuskiej Ligue 1. Chodzi o Francisco Sierraltę, który trafił do PKO Ekstraklasy z AJ Auxerre również na zasadzie wypożyczenia. Piłkarz ma na swoim koncie także występy w angielskiej Premier League i włoskiej Serie A.

Dużo działo się w Pogoni Szczecin, która ogłosiła aż dwóch nowych zawodników. Do ekipy Portowców dołączyli włoski obrońca Alessandro Riccio oraz polski bramkarz Kevin Dąbrowski, który przez ostatnie lata przebywał za granicą.

Ciekawego wzmocnienia dokonała Jagiellonia Białystok. Do zespołu Dumy Podlasia dołączył 17-letni ofensywny pomocnik Jakub Kucharski, który do białostockiego zespołu trafił na zasadzie transferu definitywnego z pierwszoligowej Stali Rzeszów. To z pewnością inwestycja w przyszłość, a klub ze stolicy Podlasia już pokazał, że potrafi postawić i wypromować młodych zawodników.

W środę nie próżnował też Widzew Łódź. Na wypożyczenie do Wisły Płock powędrował Samuel Akere, który do Łodzi trafił rok temu, ale nie spełnił oczekiwań. Natomiast do zespołu dołączył zaledwie 19-letni rumuński napastnik Ioan Vermeşan, również na zasadzie wypożyczenia z drugoligowego włoskiego Hellasu Werona.

Tuż przed zamknięciem letniego okienka transferowego wielki powrót ogłosił Śląsk Wrocław. Po 2,5 roku do zespołu znów dołączył Karol Borys, który został „wypluty" przez zagraniczną piłkę i to nie z najwyższej półki. Z Wrocławia trafił do belgijskiego KVC Westerlo, a stamtąd na 2 lata był wypożyczony do słoweńskiego NK Maribor. Nigdzie nie przekonał do siebie i postanowił odbudować się w miejscu, które zna.

eprasa.pl 28709e6c16